



DATA WYDANIA 11.12.2009 R.

WSTĘPNIAK

W kolejnym numerze zamieszczamy kilka artykułów dotyczących tego, co dzieje się w szkole i wokół niej, kładziemy szczególnie nacisk na inicjatywy uczniów, ich działalność. Ale zajmujemy się także próbą zdefiniowania pojęcia tak abs-

trakcyjnego (!) jak patriotyzm - czy można wypełnić go treścią? Czy jest dla nas istotny? Czy może być określony mianem wartości uniwersalnej?

Znajdziecie również recenzje - zarówno teatralne, jak i kinowe oraz twórczość własną.

(Oby) miłego czytania!

Redakcja

W tym numerze

Wstępniak 1

Z życia szkoły

Patriotyzm – czy(m) jest. ... 2-3

IV Płońskie Zaduszki

Muzyczne 3-4

Dzień Patrona 4-7

Wymiana z Niemcami 8-9

Wymiana z Holandią 9-11

Już niedługo? Egzamin

gimnazjalny 11-12

Integracja klas 1 12-13

Akcja krwiodawstwa 13

Apel kultury niemieckiej . . 14-15

Felietony

Tochman. Dlaczego

fascynuje? 15-18

Muzyka – jaka była,

jaka jest? 17-18

O kulturze disco-polo 19

Recenzje

Lipiec 20-21

Dla mnie bomba 22

Szukając Graala 23

Głośniej od bomb 24-25

Zawodowiec 26-27

Sok z żuka 27-28

Dzieci Ireny Sendlerowej 29

Z czym kojarzy Ci się ...

Z czym kojarzy Ci się.... 30-33

FCE 34-35

Rewers 35

Interstate 60 35-36

Amazonia 36

Mój Wehrmacht 37

Happy Feet 37-38

Ona i on 38

La première dame

de France 38-39

„L'amour... et plus rien" 39

Twórczość własna i inne

Złota Formuła 40-41

Z pamiętnika nastolatki ... 41-43

Opowieść wigilijna 43-44

Wiersze 45-46

Patriotyzm – czy(m) jest?

W związku z obchodami 11. listopada wypada zastanowić się nad współczesnym rozumieniem patriotyzmu. Postawa ta – uzależniona od historii, przemian społecznych i obyczajowych – jest różnie definiowana.

Czym dla nas jest patriotyzm? Czy jesteśmy patriotami, a jeśli tak – w czym to się wyraża? Na te pytania próbowali odpowiedzieć uczniowie naszej szkoły

Moje rozumienie patriotyzmu

- Moim zdaniem współcześnie patriotyzm jest trudno zdefiniować, ponieważ nie musimy, tak jak nasi dziadkowie, walczyć o wolność ojczyzny. Według mnie dzisiaj patriotyzm można określić jako umiłowanie i poszanowanie ojczyzny, języka, kultury i tradycji, Dorota

- Sądzę, że postawa patriotyzmu w dzisiejszych czasach przybrała nową formę dla Polaków. Mało jest wśród młodzieży osób, które obchodzi to, jak ich ojczyzna wygląda lub będzie wyglądać – jest to im obojętne. Warto jest zastanowić się, co robiłem 11. listopada – czy wykorzystałem ten dzień, aby położyć dłużej w łóżku, a może poszedłem na obchody wspominać tych, którzy oddali życie za ojczyznę – moją ojczyznę..., Daniel

- Mim zdaniem patriotyzm służy oddaniu się człowieka ojczyźnie, robieniu czegoś dla swego kraju. W tych czasach obowiązkiem każdego Polaka jest chodzenie do szkoły przynajmniej do osiemnastego roku życia. Patriotą możemy nazwać tego, który jest zainteresowany swoją ojczyzną, troszczy się o nią i jest w stanie się dla niej poświęcić, Patryk

- Patriotyzm. Połowa ludzi żyjących w dzisiejszych czasach nie zna znaczenia tego słowa, a – powiedziawszy sobie szczerze – druga połowa wcale nie jest lepsza. Myślę, że każdy z nas utrwalił sobie pojęcie patriotyzmu jako walki o swój kraj, naród – i na tym koniec. Tymczasem patriotyzm powinien być czymś więcej, nie samym suchym pojęciem, ale czymś, co jest gdzieś w każdym człowieku, jakąś niewyobrażalną miłością do Polski, której zazwyczaj nie dostrzegamy. Myślę jednak, że w każdym ona jest, bo ktoś – siedząc przed telewizorem, oglądając mecz siatkówki – nie krzyknie w duchu: „Do boju, Polsko!”, Patrycja

- Patriotyzm współcześnie to chyba coś w stylu pracy na rzecz państwa, by było silne wewnętrznie (i zewnętrznie). To dbanie o jego dobro, czyli w wypadku ustroju demokratycznego chodzenie na wybory (i głosowanie oczywiście) i rzetelne wywiązywanie się ze zobowiązań podatkowych, a jeżeli pan Tusk ogłosi referendum w sprawie zmiany Konstytucji RP,

pójdziemy i my do urn. By kraj rósł w siłę, Monika

- Większość współczesnych ludzi nie skupia się na wartościach takich jak patriotyzm. W dzisiejszych czasach pojęcie to przybiera zupełnie inną formę i stanowi odmienną wartość niż na przykład za czasów okupacji. Argumentacją i istotą patrioty jest przestrzeganie zasad prawnych, zapisanych w konstytucji (poniekąd) i ewentualne podporządkowywanie się normom, ale do momentu akceptowania ich i chęć zrozumienia ich hegemonii. Przy współczesnym „skurczeniu się świata”, mieszanii kultur, tradycji, języków, wartości zacierają się granice pomiędzy postrzeganiem swojego kraju jako ojczyzny a postrzeganiem go jako pewnego rodzaju formy, Michał

- Moim zdaniem patriotyzm nie przejawia się w tych czasach oddaniem życia za ojczyznę, ale tym, że robimy cokolwiek dla swojego kraju. Obowiązkiem każdego Polaka jest chodzenie do szkoły i skończenie jej. Patriotą możemy nazwać człowieka, który założył rodzinę i interesuje się ojczyzną, Przemek

- Patriotyzm definiuję jako poczucie przynależności do narodu. Dziś nie musimy już walczyć o wolność Polski – bo nie ma takiej potrzeby – zatem i znaczenie tego pojęcia uległo zmianie. Patriotą to dla mnie człowiek, który pomimo porażek swego kraju, pomimo

minusów, jakie widoczne są w jego funkcjonowaniu, potrafi – w naszym wypadku – powiedzieć: „Jestem Polakiem!”. Mamy niestety niewielu takich ludzi, lecz jakie czasy, takie społeczeństwo, Asia

- Patriotą będzie ten, kto mimo wszystkich wad swego kraju walczy o naród. Ludzie wyjeżdżają z kraju przejawiają cechy patriotyzmu np. tęsknotę do ojczyzny. Często słyszymy, że patriotyzm nie realizuje się w dzisiejszych czasach. Jest to wywołane złymi rządami polityków. Tym, co określa ludzi, jest wspólne miejsce pobytu oraz kultura, która łączy wszystkich Polaków, Michał

- Przed laty patriotyzm był potrzebny ludziom, którzy musieli zmagać się z zaborcą lub okupantem, by nie zatracić w sobie ducha polskości. Dziś pa-

triotyzm jest w nas zatracany. Wiele osób przez to pojęcie rozumie oczywiście pójść na obchody święta państwowego, czy na wybory. Czy nasze pol-



Godło. Czy ma teraz jakąś wartość ?

skie społeczeństwo w ogóle wie, co to znaczy być patriotą? Patriotyzm to przede wszystkim przynależność do narodu i

do kraju, Rafał

- Sądzę, że pojęcie patriotyzmu jest pojęciem, które zmienia się na przestrzeni wieków.

Współczesny patriotyzm pojmuję jako poszanowanie, umiłowanie ojczystego języka, tradycji, podtrzymywanie tożsamości kulturowej, narodowościowej. Patriotyzmem nazywamy również określoną postawę obywatelską – poszanowanie wiedzy historycznej, Olga

IV Płońskie Zaduszki Muzyczne

Artykuł autorstwa Jowity Jędras oraz Jakuba Brojka

W sobotę 21 listopada o godz. 17.00 w sali kinowej Miejskiego Centrum Kultury w Płońsku odbyło się widowisko słowno-muzyczne poświęcone znanym mieszkańcom naszego miasta. Gałę poprowadziły Marzena Kunicka oraz Bożena Kaliściak, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej. Oprawę taneczno-muzyczną przygotowali wycho-

wankowie szkoły muzyki i tańca „NUTKA” pod opieką Marzeny Kunickiej, jak również uczniowie płońskiej Szkoły Muzycznej. Na scenie obok młodych artystów występowali również nauczyciele wraz z uczniami wszystkich płońskich szkół, wyrażając refleksje (w formie biograficznych wspomnień) na temat znanych zmar-

łych płońszczyzan. Utwory wokalne i choreograficzne wprowadzały odpowiedni nastrój i skłaniały do przemyśleń na temat życia i śmierci. Wspominano zasłużonych płońskich nauczycieli / osoby związane ze szkolnictwem, lekarzy oraz ofiary II Wojny Światowej.

Drugą część występu uświetniło przemówienie prof. Władysława Bartoszewskiego, który poprowadził wykład na temat norm etycznych i moralnych w życiu człowieka, nie szczędząc dawki humoru i uwzględniając doświadczenia osobiste. Ta niezwykle skromna osoba, na przykładzie swojego życia, prezentowała priorytety i wartości, jakimi powinniśmy się kierować w życiu prywatnym. Profesor przestrzegł przed obłudą, kłamstwem i hipokryzją. Podkreślał również wartość tradycji i dokonań przodków, za przykład podając rozmowę



ze swoim synem, który cieszył się, że odziedziczy po ojcu nazwisku, nie zważając na

dobry materiał, które przekazane zostaną do Instytutu we Wrocławiu im. Ossolińskich. Część swych zbiorów książkowych prof. obiecał umieścić w płockiej Bibliotece im. H. Sienkiewicza. Wykład zakończyły gromkie brawa i owacja na stojąco. Prof. Bartoszewski podziękował za zaproszenie i... no cóż, mogliśmy jeszcze kupić książki profesora a przede wszystkim - zachować wspomnienie niezwykłego wieczoru

Dzień Patrona

JAK CO ROKU W LISTOPADZIE OBCHODZIMY DZIEŃ PATRONA, KTÓREMU TOWARZYSZY TAKŻE WYDARZENIE JAK ŚLUBOWANIE KLAS 1. ORAZ – ZGODNIE Z KILKULETNIĄ TRADYCJĄ – WYKŁAD BARBARY WACHOWICZ. W TYM ROKU OGŁOSZONO TEŻ KONKURS ZWIĄZANY Z HENRYKIEM SIENKIEWICZEM – JEGO LAUREATÓW I FINALISTÓW WYŁOŃIŁA SAMA PISARKA.

Fragmenty listów zamieściliśmy w poprzednim numerze. W tym z kolej publikujemy wrażenia kilkorga z uczestników tego święta:

- Miałam takie szczęście, że mój list został wybrany przez

panią Wachowicz. Czułam się wyjątkowo, gdy pani Wachowicz – znana, ceniona polonistka wpisywała fioletową dedykację do fioletowej nagrody. Wiedziałam, jak wygląda święto naszego patrona, ponieważ już 3 lata temu mogłam w nim uczestniczyć. W tym roku, tak jak w pierwszej klasie gimnazjum, z zaciekawieniem słuchałam wykładu pani Wachowicz o młodości Sienkiewicza, o jego domu, miłościach. Mam nadzieję, że to nie było moje ostatnie spotkanie z „fioletową” panią Barbarą, Gosia

- Spotkanie z panią Barbarą Wachowicz na długo zapadnie mi w pamięć. Podczas podpisywania książek pani Barbara każdemu zadawała jakieś pytanie. Kiedy nadeszła moja kolej,

pisarka zapytała, czy mam rodzinę we Francji, co mnie bardzo zdziwiło. Okazało się, że zaciekało ją, dlaczego mam na imię Żaneta. Poprosiła mnie, abym się tego dowiedziała i napisała jej wiadomość. Chciała również, abym poinformowała ją, kto wymyślił, że będę tak miała na imię i czy nie było problemów podczas mojego chrztu. Spotkanie to było bardzo miłe i wyjątkowe. Podobała mi się również „sesja zdjęciowa” z pisarką i anegdoty, które opowiadała. Na długo zapamiętam to spotkanie, Żaneta

W Dniu Patrona pani Wachowicz wspominała życie jednego z największych polskich pisarzy – autora tak wspaniałych książek jak „Potop”, „Krzyżacy”, „Ogniem i mieczem” – Henryka

Sienkiewicza, patrona naszej szkoły. Opowiadała o czasach II Wojny Światowej, o swoich własnych przeżyciach, doświadczeniach. Po wykładzie odbyło się spotkanie w czytelnicy z autorami listów do H. Sienkiewicza. Atmosfera była wspaniała. Rozmawialiśmy o historii Polski i ciekawych obiektach związanych z naszym patronem. Następnie pani Wachowicz podpisała nam książki jej autorstwa i podała kontakt do siebie. Myślę, że będę do niej często pisała, gdyż jest mądrą, ciekawą osobą. Można się od niej dowiedzieć wielu interesujących informacji. Uważam, że to był wspaniały dzień. Takich spotkań powinno być więcej,
Marta

- Patron to zasłużona, zwykle nieżyjąca osoba, której cechy i zachowanie są godne naśladowania. Patronem naszego liceum jest, jak każdy dobrze wie, Henryk Sienkiewicz. Dzień Patrona obchodzimy w dzień jego śmierci, tj. 15. listopada. W tym roku jednak - w piątek 13. listopada. Osobiście dzień ten kojarzy mi się z bardzo uroczystym wydarzeniem, ważnym dla całej społeczności szkolnej. Takim właśnie był. Do szkoły przybyli emerytowani nauczyciele, burmistrz miasta... na czele z panem dyrektorem Ryszardem Buczyńskim. Po raz pierwszy miałam okazję uczestniczyć w tej uroczystości. Sama dokładnie nie wiedziałam, na jakiej zasadzie wszystko będzie przebiegać. W związku z Dniem Patrona odbyło się ślubowanie klas pierwszych: zarówno gimnazjum, jak i liceum. Po przyrzeczeniu złożonym

przed pomnikiem Henryka Sienkiewicza udaliśmy się do szkolnej auli. Tam czekała na nas niezwykła pisarka losu polskiego - Barbara Wachowicz. Z wielką pasją i zaangażowaniem opowiadała o życiorysie i twórczości Sienkiewicza. W tym dniu został również rozstrzygnięty konkurs literacki: „List do Henryka Sienkiewicza - pisarza bliskiego młodemu odbiorcy”. Zwycięzców wyłoniła sama Barbara Wachowicz. Wszyscy uczestnicy otrzymali książki jej autorstwa z osobistą dedykacją. Uważam, że dzień ten był niezwykły nie tylko dla mnie, lecz i dla całej społeczności szkolnej, Paulina

- Dzień Patrona obchodzony był w piątek dnia 13. listopada. Uczniowie pierwszych klas ustawili się na dworze. Przedstawiciele w imieniu swoich kolegów ślubowali wierność podstawowym wartości, w których utwierdza nas także szkoła. Następnie w auli szkolnej odbył się, jak co roku, występ Pani Barbary Wachowicz. Niektórzy uczniowie wydawali się zmęczeni, jednak znaleźli się i tacy, których wykład zainteresował. Pani Wachowicz uraczyła nas ciekawymi historiami ze swojego życia. Niektóre z nich wzbudzały uśmiech, inne były nieco nudne. Ogólne wrażenie, które wyniosłam z tego spotkania, były pozytywne, Bernasia

- 13. listopada, w piątek w naszym liceum miały miejsce obchody Dnia Patrona. Była to uroczystość połączona ze ślubowaniem pierwszoklasistów, do których należę. Ślubowanie od-

było się przed budynkiem szkoły. Odwiedziła nas pisarka, autorka biografii sławnych Polaków m.in. Henryka Sienkiewicza. Pani Barbara Wachowicz jest dla mnie symbolem człowieka nieco żyjącego przeszłością, ale także osobą bardzo charakterystyczną i ciekawą. Dość oczywistą rzeczą był także fakt, iż ulubionym kolorem tej pani jest fiolet, wywnioskowałam to po ubraniu, torebce i barwie długopisu. Zrozumiałe też wydaje się, że można się utożsamiać z pewnymi wartościami poprzez taką postawę, ale uważam, że było to zbyt przesadne. W moim odczuciu również świadczyło to nieco o chęci bycia zauważonym. W auli przeczytane zostały najlepsze prace, wybrane przez naszego gościa. Jeśli chodzi o kwestię wykładu to, mimo iż p. Wachowicz posiada bardzo bogaty język, miałam wrażenie, że poruszane tematy nie mają obecnie zbyt dużego wydźwięku wśród mojego pokolenia. Mimo że Pani Barbara wydaje się trochę ekscentryczna, darzę ją szacunkiem. W moim osobistym poczuciu ten dzień nie był żadnym wielkim przeżyciem. Wręcz przeciwnie, poza faktem, iż wszyscy byli odświętnie ubrani, był to zwykły dzień szkoły. Ogólnie wspominam go miło, lecz nie mogę powiedzieć, że z pewnością zapadnie mi w pamięci na długie lata. Ale to tylko i wyłącznie mój punkt widzenia, nie wypowiadam się w imieniu moich kolegów i koleżanek, Artur

- Moje wspomnienia z Dnia Patrona, kiedy to szacowna pani przyjaciółka naszej szkoły, pani

Barbara Wachowicz, przyjechała, by dać wykład o szacownym pisarzu panu Henryku Sienkiewiczu, a zatem moje wspomnienia – rzecz, zdawało by się, bolesna. A jednak nie. Uprzedzona przez kolegów o śmiertelnym działaniu fioletu na psychikę uczniowską (nigdy wcześniej nie miałam przyjemności uczestniczyć w imprezie z udziałem pani Wachowicz), podszłam do sprawy z pewnym dystansem, rzekłabym nawet – rezerwą. Usiadłam z męczeńską miną i czekałam, rozglądając się dookoła. Formalności, powitania, oklaski, konkursy, listy pełne wzniosłych fraz – wszystko przetrzymałam z zaciśniętymi zębami w oczekiwaniu na wykład. Wreszcie do akcji wkroczyła pani Wachowicz, a ściślej – jej pogadanka na temat pisarza będącego patronem naszej (szacownej, oczywiście że szacownej!) szkoły. Spodziewałam się, a raczej nie spodziewałam się niczego dobrego ze swojego sceptycznego stanowiska popartego opiniami znajomych. Tymczasem rozczarowałam się, mile się rozczarowałam. Wykład okazał się interesujący, ale słodzić nie mam zamiaru. Dowiedziałam się kilku ciekawych rzeczy o patronie, poza tym spojrzałam na niego zupełnie innym okiem – *kurczę, pomyślałam, Sienkiewicz też człowiek*, Paulina

- 13 XI 2009 odbyło się w naszej szkole bardzo ważne święto. Obchodziliśmy Dzień Patrona naszej placówki, a jest nim oczywiście Henryk Sienkiewicz. Uroczystość ta zbiegła się ze

ślubowaniem klas pierwszych. Cała społeczność szkolna stanęła przed pomnikiem Sienkiewicza i wysłuchała uroczystego przyrzeczenia przedstawicieli klas. Następnie wysłuchaliśmy wykładu honorowego gościa, którym była pisarka losu polskiego – Barbara Wachowicz. Z niezwykłą pasją opowiadała o losach naszego patrona, niemal każdy w ciszy i skupieniu wysłuchał przemowy. Następnie rozstrzygnięto konkurs literacki – najlepsze prace wybrała sama Barbara Wachowicz, a laureaci otrzymali książki jej autorstwa. Po zakończeniu oficjalnego spotkania z pisarką, spotkała się ona ze zwycięzcami konkursu w czytelnicy szkolnej. Pani Wachowicz wypisywała dedykacje do otrzymanych przez nas książek i prowadziła z nami interesujące rozmowy. Na spotkaniu byli również harcerze z naszej szkoły, na co pisarka zareagowała z wielkim entuzjazmem. Zachęcała nas wszystkich, abyśmy pisali do niej, wyrażając w korespondencji swoje uczucia i przemyślenia po lekturze jej książek. W końcu jednak spotkanie dobiegło końca i w bardzo miłej atmosferze pożegnaliśmy się z Panią Barbarą. Wierzę, że zarówno dla mnie, jak i dla pozostałych uczestników tego spotkania było to niezapomniane przeżycie, Magda

- Wspomnień moich nie potrafię chyba ani rozbudować, ani ubrać w jakieś w miarę sensowne słowa, zostanie więc tak, jak to sobie potem powinnam odzwierciedlać. A historia ciekawa jest, prawdziwa jest, odrobinę fioletowa jest. Było więc tak. Radosnym krokiem do progów szko-

ły zmierzając, natknęłam się na auto. A przy nim, we własnej osobie – pani Wachowicz. O dziwo, rozpoznała mnie i całkiem matczynym gestem przygarnęła do serca. A potem zabrała do czytelnicy szkolnej, bym pod jej czujnym okiem ćwiczyła dykcję. Potem rozpoczął się wykład, nasza Odwieczna Przyjaciółka mówiła długo i, jeżeli słuchało się jej po raz pierwszy, całkiem interesująco. Zabrzmiały fanfary, emocje sięgnęły zenitu, a ja przeczytałam swój list, porywając przy tym publikę. Dobrze, w tym momencie zaczęłam już mieszać fikcję z rzeczywistością. Wesoło było, wesoło. Powinnam powiedzieć pewnie jeszcze o wspomniałym doświadczeniu, jakim było ślubowanie. Czyli, oczywiście, narazicie czujemy się jak pełnoprawni uczniowie tej szkoły i tak dalej..., Monika

- 3. listopada 2009r. w naszej szkole jak co roku był obchodzony Dzień Patrona. Jest to dzień, kiedy w sposób szczególny zwraca się uwagę na sylwetkę, życie i twórczość najwybitniejszego pisarza przełomu XIX/XX wieku – Henryka Sienkiewicza. Dla uczniów klas pierwszych, zarówno gimnazjum jak i liceum, jest to święto niezwykle również z powodu ich ślubowania wierności szkole i ideałom przez nią przekazywanych. Po uroczystości mieliśmy okazję do spotkania z p. Barbarą Wachowicz – wybitną osobistością, której opowieści mogliśmy posłuchać na sesji naukowej wygłoszonej w naszej auli szkolnej. Ciekawe, nieznanne dotąd historie z życia naszego patrona,

Których z zainteresowaniem słuchaliśmy, poruszyły nasze serca, a niektórych wzruszyły do łez. Tego dnia mieliśmy niezwykłą okazję przekonać się na własne oczy czym może być polskość, patriotyzm i miłość do ojczyzny. Dzięki tak osobom jak p. Wachowicz z całą pewnością możemy powiedzieć, że „Jeszcze Polska nie zginęła...”, póki tacy ludzie będą pokazywać nam, młodym ludziom, jak być Polakiem i nie musieć się tego wstydzić, Kamil

- Dnia 13 listopada 2009 roku o godzinie 11:30 w naszej szkole jak co roku odbyły się obchody Dnia Patrona. Uroczystość rozpoczęła się na zewnątrz przy pomniku Henryka Sienkiewicza. Zabrział Mazurek Dąbrowskiego, wprowadzono sztandar a przedstawiciele wszystkich klas pierwszych przystąpili do ślubowania. Następnie swoje przemówienie wygłosiła wicedyrektor naszej szkoły oraz Pan Dyrektor – Ryszard Buczyński. Na uroczystości nie mogło zabraknąć również naszego honorowego gościa Pani Barbary Wachowicz. Po zakończeniu części obchodów, która odbywała się na zewnątrz, przeszliśmy do szkolnej

auli. Tam swoje przemówienia wygłosili między innymi Burmistrz Miasta Płońsk – Andrzej Pietrasik. Pan Dyrektor wręczył nagrodę za szczególne osiągnięcia Karolinie Sendal, absolwentce naszego liceum. Później swój występ rozpoczęła Pani Barbara Wachowicz, która przybliżyła nam życiorys Henryka Sienkiewicza. W trakcie swojego wystąpienia, chcąc utrzymać kontakt z publicznością, zadawała nam pytania. Najbardziej „przepytwana” była jednak Karolina, obecnie studentka Uniwersytetu Warszawskiego. Kolejną częścią uroczystości było odczytanie wyników konkursu – przyznano wiele wyróżnień, a pierwsze miejsce zajęli Piotr Izydorzak i Monika Lutomirska. Po wręczeniu nagród w postaci książek autorstwa Barbary Wachowicz, nasz gość honorowy poprosił o indywidualne spotkanie z wyróżnionymi uczestnikami konkursu. Myślę, że każdy z nas najmilej wspominać będzie niezwykle zajmujący wykład Pani Barbary Wachowicz, która jest wiernym przyjacielem naszej szkoły. Z utęsknieniem będziemy wyczekiwać kolejnej wizyty naszego wyjątkowego gościa oraz jego fioletowej mądrości, Kinga

- Podczas Dnia Patrona pani Barbara Wachowicz, posługując się piękną polszczyzną, przybliżyła nam wydarzenia oraz anegdoty z życia Henryka Sienkiewicza. Uroczystość ta wywarła na mnie duże wrażenie i skłoniła do przemyśleń na temat naszego wielkiego pisarza, polskiego noblisty. Laureaci konkursu na list do Henryka Sienkiewicza oraz wyróżnieni po zakończeniu uroczystości udali się do szkolnej czytelnicy na spotkanie z panią Wachowicz, która wpisała nam piękne dedykacje do nagród książkowych. Jako laureat I nagrody otrzymałem „Wigilie Polskie” i „Marie jego życia”. Pani Wachowicz zachęciła mnie także do przeczytania powieści Stefana Żeromskiego „Uroda życia”, gdyż główny bohater nosi takie samo imię jak ja. Jest to już moje drugie spotkanie z panią Barbarą Wachowicz. W zeszłym roku wzięłem udział w jej widowisku otwierającym wystawę o Henryku Sienkiewiczu „Dla pokrzepienia serc”. Spotkanie z taką niezwykłą osobowością wzbogaciło moją wiedzę o literaturze i zachęciło do zgłębiania twórczości wielkich Polaków, Piotr

Wymiana z Niemcami

Artykuł autorstwa Ewy Dzitowskiej

Jakie było moje pierwsze odczucie po przekroczeniu granicy polsko – niemieckiej? Zdziwienie. Całkowicie zaskoczył mnie fakt, że nagle przestaliśmy podskakiwać w naszych siedzeniach. Ruchy autokaru stały się nadzwyczaj płynne. Tak, to niezaprzeczalny fakt, że dotarliśmy na miejsce.

Mówiąc szczerze, mimo radości z wyjazdu, gdy wyruszyliśmy z Płońska, miałam mnóstwo obaw. Najbardziej trapiło mnie jednak, że nie będę w stanie porozumieć się z moją partnerką i jej rodziną. Całe to zdenerwowanie jakby „ulotniło się” wraz z opuszczeniem autokaru. W tej samej chwili wszyscy niemieccy koledzy zgromadzili się wokół nas z napisem: „Witany w Hechingen”. Wśród tego tłumu roześmianych nastolatków szybko odnalazłam wzrokiem swoją partnerkę – Lenę. Ona w tej samej chwili uśmiechnęła się i już wiedziałam, że nie będziemy miały żadnych problemów z dojściem do porozumienia.

Moja partnerka mieszkała w oddalonym o ok.10 km od Hechingen miasteczku Bisingen. W drodze mogłam podziwiać piękne krajobrazy – wokół trasy rozpościerały się bowiem rozłożyste lasy oraz łąki. Teren był górzysty, na jednym z wyższych wzniesień znajdował się XII-wieczny zamek rodu Hochenzollernów.

Podczas całego pobytu zauważyłam, że nasze kraje wiele różni i to na kilku płaszczyznach. Weźmy chociażby wygląd ty-

powego niemieckiego domu jednorodzinnego – budynek ten jest bardzo wąski, ale wysoki. Większość jego elementów jest wykonanych ze stali lub szkła. Wewnątrz charakteryzuje go wszechogarniająca czystość i prostota w wystroju. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie także zaangażowanie Niemców w segregację śmieci. W większości niemieckich domów bowiem jeden kosz na odpadki zastępuje kilka pojemników pogrupowanych odpowiednio wedle surowców: szkło, plastik, papier i inne. U naszych zachodnich sąsiadów popularne jest także składowanie butelek po wodzie, po których zgrzewki trafiają do skupów, gdzie są przetwarzane, a z otrzymanych materiałów powstają nowe opakowania. Tymczasem każdy, kto angażuje się w składowanie pustych butelek, otrzymuje potem nowe, napełnione wodą. Warto również zauważyć, że miejsca takich skupów są łatwo dostępne - znajdują się w każdym większym hipermarkecie.

Za godne uwagi uważam także rozwiązania komunikacji miejskiej u naszych zachodnich sąsiadów. Dostanie się do szkoły oddalonej o kilka kilometrów od miejsca zamieszkania nie stanowi dla ucznia żadnego problemu. W obrębie jednego większego miasta i jego okolic przez cały ranek krąży kilka autobusów dowożących uczniów do szkół. Wszystko działa bardzo sprawnie i jest w pełni zorganizowane. Myślę, że jest to rozwiązanie w pełni uła-

twiające życie wielu niemieckich rodzin.

Co jeszcze odróżnia od nas Niemców? Idealne rozgospodarowanie czasu w ciągu dnia. Będąc tam, trochę zazdrościłam naszym sąsiadom, że codziennie wieczorem mogą wspólnie usiąść przy stole i po prostu porozmawiać. W rodzinie Leny na przykład tradycją jest wspólny rodzinny obiad u jej cioci w każdy piątek. Nasi rówieśnicy również mają czas, aby regularnie się spotykać – przynajmniej raz w tygodniu chodzą razem na kręgle, do dyskoteki czy do kina

Uważam, że za ciekawostkę można uznać także zwyczaje kulinarne Niemców. Do ulubionych produktów naszych sąsiadów należą różne, charakterystyczne dla danego regionu kiełbaski, tzw. Wuerstchen, a także kartofle, z których lubią robić wszelkiego rodzaju zapiekanki oraz ich specjał – Kartoffelsalat. Mnie i wszystkich moich kolegów z Polski i tak najbardziej zdziwił fakt, że nasi zachodni sąsiedzi piją prawie wyłącznie napoje gazowane. Nasza prośba o wodę pozbawioną gazu wprowadzała ich z kolei w niemałą konsternację.

Co do mojej partnerki – pierwsze wrażenie mnie nie omyliło. Miałam ogromne szczęście, że trafiłam na tak wspaniałą rodzinę. Z Leną rozmawialiśmy chyba o wszystkim – rozpoczynając od stylu życia w naszych krajach, przez szkolnictwo w Niemczech, po politykę. Dowie-

działałam się także wiele o jej rodzinie, poznałam jej dziadków, ciocię, uczyłam polskiego jej starszą siostrę! A co najlepsze, wszystko to odbywało się w języku niemieckim. Cały ten

wyjazd dał mi dużo radości i znacznie rozwinął moje umiejętności lingwistyczne. Teraz mówienie w obcym języku wydaje mi się zdecydowanie prostsze. Zobaczyłam wiele no-

wego i dowiedziałam się, jak można żyć inaczej. Podsumowując - warto było jechać!

Wymiana z Holandią

Artykuł autorstwa Tomka Firsta

Jak co roku zorganizowana została wymiana do Holandii, jednymi z jej uczestniczek są Łucja i Ala, uczennice klasy 1e. O swoich oczekiwaniach opowiedziały autorowi artykułu, Tomkowi Firstowi, kilka dni przed wyjazdem. Czy plany się spełniły – to wyjaśnia rozmowa przeprowadzona również z tymi samymi bohaterkami wywiadu, ale już kilka dni – po powrocie.

...tuż przed wyjazdem...

Zaczynając od chyba najbardziej podstawowego pytania... czemu w ogóle zdecydowałyście się na wyjazd? (nie uznaję odpowiedzi: „Żeby odpocząć od Ciebie”);?

Łucja: To była decyzja spontaniczna. Od zawsze chciałam jechać na wymianę, żeby przełamać barierę językową, poznać kulturę innego kraju, nowych znajomych. A gdy zdarzyła się taka okazja – skorzystałam z niej.

Ala: Żeby odpocząć od Ciebie :D. A tak na serio to chyba z ciekawości, chcę zobaczyć, jak tam jest, spotkać nowych ludzi.

Czego oczekujecie?

Łucja: Czego oczekuję? Czegoś innego, nowego, że znajomości, które zawrzemy, będą kontynuowane w przyszłości.

Ala: Mam nadzieję, że się tam czegoś nauczę i poprawię swój angielski. No i liczę, że się będę dobrze bawić, oczywiście.

Wiem, że kontaktowałyście się już z Holenderkami. Pierwsze wrażenie?

Łucja: Na razie mamy o nich tylko podstawowe informacje. Dziewczyny dostały nasze formularze, my wiemy o nich tyle, co napisały – ryzyk fizyk.

Ala: Jak mówi Lusia – za dużo to o nich nie wiemy. Jednak po tych paru wiadomościach, które dostałam od Suus (właściwie Suzanna, ale przyjaciele mówią do niej Suus), wydaje się, że jest miła.

Czemu wolałyście wziąć udział w wymianie z Holenderkami, a nie Niemkami?

Łucja: Hm... Nie uczę się niemieckiego, więc co ja się będę tam udzielać

Ala: Tomek, JA i NIEMCY?! Błagam...:P Oczywiście nic do nich nie mam, ale ja języka niemieckiego po prostu nie pojmuję.

Do wyjazdu zostało już tylko kilka dni, jak Wasze przygoto-

wania?

Ala: Zrobiłam listę z rzeczami, które muszę zabrać i nie wiem, gdzie ja to wszystko zapakuję. Tego jest za dużo!

Łucja: Na razie tak jak Ala mam tylko listę. Cały weekend pewnie będę się zastanawiać, czy coś jeszcze jest mi potrzebne. Mam nadzieję, że do godziny wyjazdu wszystko będzie zapięte na ostatni guzik.

A jak zareagowali Wasi rodzice/znajomi na pomysł na udział w wymianie?

Ala: Moja mama była zadowolona, nawet bardzo. A co do znajomych, to sam możesz na to odpowiedzieć (od autora: fajnie, że jedziesz, ale będę tęsknił!)

Łucja: Moi rodzice od zawsze wiedzieli, że chcę wziąć udział w wymianie, nawet sami wpadli na pomysł, żeby mnie gdzieś wysłać, więc kiedy powiedziałam im o Holandii, bardzo się ucieszyli. A znajomi? Będą tęsknić za nami, ale też się cieszą.

Jedziecie do Holandii, czy jest to dla was zupełnie obcy kraj, a może macie jakieś większe pojęcie o nim, niż wiatraki i tulipany?;D

Ala: Mnie się jeszcze kojarzą rowery i to, że wszystko jest tam legalne. :D

Łucja: Jak wyżej:)

Na początku rozmowy jedna z was wspomniała o barierze językowej, nie obawiacie się, że może ona stwarzać problemy?

Ala: Boję się, że zapomnę jak powiedzieć jakieś głupie, proste słówko i ludzie będą się ze mnie śmiać. Ale to tylko moje dziwne lęki. Mam nadzieję, że dam radę.

Łucja: No jasne, że jest strach, ale co ma być, to będzie, zawsze można skorzystać ze słownika angielsko-polskiego;).

Czego/kogo będziecie wam najbardziej brakowało w Holandii?

Ala: Czego? Mojego głupiego kota :D. Kogo? Dziewczyn z klasy i rodziców. No i Ciebie (wiem, że na to czekałeś;) (od autora: ma rację:).

Łucja: Chyba najbardziej będzie mi brakowało spotkań z naszą „paczką” dziewczyn i tego ich optymizmu. No i rodziców też oczywiście. Po powrocie będę wiedziała lepiej, czego/kogo mi brakowało.

No dobra, dzięki za rozmowę i miłego wyjazdu:)

A po powrocie...

Pierwsze pytanie, do bólu przewidywalne, ale muszę je zadać - jak było? :D

Ala: Bardzo fajnie! Strasznie mi się podobały widoki, ludzie byli cudowni i ogólnie wszystko

było cool!:)

Łucja: Trudno odpowiedzieć. To trzeba po prostu przeżyć! Nie myślałam, że przez te dwa tygodnie tak się ze wszystkimi zwiążemy. Coś niesamowitego.

Wymiana spełniła Wasze oczekiwania?

Ala: Zdecydowanie. Poznałam



nowych ludzi, przeżyłam wiele ciekawych przygód, no i wydało mi się, że mój angielski się poprawił.

Łucja: Oj tak! Niezapomniane zdarzenia, coś niepowtarzalnego. Ludzi byli bardzo otwarci. Także atmosfera, zajęcia i spędzanie wolnego czasu.

Czy język stanowił problem?

Obie: Pierwszy dzień to była niepewność, pomału próbowaliśmy się dogadać, jednak lu-

dzie byli bardzo otwarci i to pozwoliło nam się przełamać:)

Jaki był najlepszy moment wymiany?

Ala: Ciężko wybrać, może wtedy, gdy Zosia walnęła głową w amsterdamski słup?

Łucja: Nie! Wtedy, gdy na festiwalu kulinarnym zebraliśmy się wszyscy przy fortepianie. Jeden z Anglików zaczął grać, a wspólnie śpiewaliśmy.

Ala: Tak, to było fajne, ale podobowało mi się też, jak w autobusie śpiewaliśmy „Gdzie strumyk płynie z wolna” w dwóch językach :D

A jak Holendrzy, szło się z nimi dogadać?

Ala: Oczywiście, że tak. Zwłaszcza z Dominikiem, który bardzo szybko uczył się polskich słówek :D

Łucja: Za szybko;) Nie było z tym żadnego problemu. Rozmawialiśmy na różne tematy i każdy wiedział, co i jak powiedzieć. Jeśli ktoś nie pamiętał słówka, pomagałyśmy sobie lub po prostu mówiłyśmy o tym ogólnie i oni od razu „łapali”.

No to jak? - Holandia ciekawy kraj?

Łucja: Bardzo czysty ... i te wiatraki.

Ala: Strasznie dużo wiatraków, jezior i rzek. Jak zobaczyłam, ile rowerów stało przed szkołą, to się przestraszyłam;) Jak już Lusia powiedziała, jest tam czysto. A to dlatego, że jeżeli służby porządkowe zauważą, że ktoś śmieci, to musi płacić mandat w wysokości 15 euro.

Czego/kogo wam najbardziej

brakowało?

Lucja: Polskiego jedzenia! Naprawdę. Oni tam za mało solą. Brakowało mi również przyjaciół, ale szczerze, to cały dzień coś się działo, wieczorem było się zmęczonym, więc rzadko łapała melancholia.

Ala: Tęskniłam za chłopakiem, przyjaciółmi, rodziną, kotem, ciepłą łazienką, ciepłym łóżkiem, żółtym serem i polędwicą sopocką ;p I to chyba wszystko.

No to czas już na ostateczne pytanie, jakie były największe różnice między życiem w Holan-

dii przez te 10 dni, a w Polsce?

Ala: Największa różnica? Obiad był ok. 18-19. Normalnie to jem około 15, więc musiałam się jakoś przestawić. W szkole pomiędzy lekcjami nie było przerw, tylko jedna - trzydziestominutowa na lunch. No i dziwne było to, że ich domy nie były ogrodzone. A w oknach nie mieli ani zasłon, ani żaluzji. Tzn. niektórzy mieli, ale tylko nieliczni. Jakoś tak w porównaniu z Polską to było bardzo dziwne.

Lucja: Myślę, że Ala wymieniła największe różnice. Nie wspomniała chyba tylko o rowerach.

Są na każdym kroku, gdzie nie spojrzysz tam rowerzysta - a rowery władają chyba ludźmi;) W Holandii jest coś takiego, że jak masz np. 6 km do szkoły, to nie opłaca się jechać autobusem, 10 minut rowerem i jesteś na miejscu.

Obie: Podsumowując, przeżyliśmy bardzo fajne 10 dni obfite w naukę i zabawę :D Poznałyśmy świetnych ludzi i już nie możemy się doczekać, kiedy przyjadą do Polski!

Już niedługo? Egzamin gimnazjalny

Artykuł autorstwa Ewy Dzitowskiej

Egzamin gimnazjalny – słowa, które zapewne wielu trzecioklasistom spędzają obecnie sen z powiek. Paradoksalnie, spotykamy się z nim prawie na każdym kroku – w szkole, podczas rozmowy z rodzicami, a także w prasie czy telewizji. W księgarniach i empikach znajdują się setki różnorodnych pozycji nawołujących: „Gimnazjalisto, sprawdź, czy zdasz!”, próbne arkusze egzaminacyjne można kupić choćby w kiosku, jako dodatek do dziennika. Wszystkie te czynniki sprawiają wrażenie, jakoby czekające nas testy były doprawdy wielkim, wręcz nie do przeskokowania, wyzwaniem. Nurtuje mnie jednak fakt, czy rzeczywiście tak jest? I jak na całe to zamieszanie reagują sami zainteresowani, czyli

uczniowie trzecich klas gimnazjum? Postanowiłam sama to sprawdzić...

Na moją prośbę o udzielenie mi odpowiedzi na kilka pytań, większość moich rówieśników reagowała entuzjastycznie. Kiedy jednak uświadomiłam im, o czym chcę z nimi podyskutować, rozmowa niespodziewanie wkraczała na inne tory bądź urywała się. Udało mi się jednak uzyskać odpowiedzi piętnastu osób, na podstawie których dowiedziałam się, co naprawdę myślą o egzaminie sami uczniowie.

Na moje pierwsze pytanie: „Czy stresujesz się czekającymi Cię egzaminami?”, 9 na 15 moich rozmówców zadeklarowało, że świadomość czekających ich

testów jest dla nich stresogenna. Swoje odczucia tłumaczyli najczęściej faktem, iż mają one wpływ na ich przyszłość. Kolejnym wymienianym argumentem był także ogromny zakres materiału, który obejmuje egzamin. Zważając na tak dużą ilość odpowiedzi twierdzących, mogło by się wydawać, iż wszyscy trzecioklasiści już teraz solidnie pracują nad powtarzaniem przerobionego materiału i rozwiązywaniem próbnych arkuszy egzaminacyjnych. Tak jednak nie jest. Na moje pytanie: „Czy poświęcasz dużo czasu na przygotowanie się do egzaminu?”, tylko 4 moich rozmówców potwierdziło, że regularnie rozwiązuje testy. Zdecydowana większość zadeklarowała, że zacznie solidnie pracować dopiero w drugim

semestrze.

Myślę jednak, że nasze zdanie na temat egzaminu najlepiej obrazują odpowiedzi na pytanie: „Czy uważasz, że egzamin gimnazjalny jest wiarygodnym źródłem wiedzy o umiejętnościach ucznia?”. Okazało się, że większość trzecioklasistów ocenia sam test bardzo podobnie – tylko jedna osoba na wszystkich moich rozmówców udzieliła na to pytanie odpowiedzi twierdzącej. Zaprzeczając, moi koledzy zwracali uwagę przede wszystkim na fakt, iż obecna formuła egzaminu narzuca każdemu z nas model zgodnego z kluczem, schematycznego myślenia. Za problem uznawali także dużą ilość pytań testowych, na które można odpowiedzieć poprzez tzw. „strzelanie”. Ważnym ar-

gumentem przeciw był także fakt, że sam zestaw odpowiedzi jest dla piszących jedną wielką zagadką i nigdy nie wiadomo, jakiego rodzaju pytania mogą pojawić się na egzaminie. Niektórzy podkreślali także, iż każdy z nas inaczej radzi sobie ze stresem, który może towarzyszyć podczas pisania. Podobne zdanie mają o egzaminie również nauczyciele. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że testy tylko częściowo sprawdzają wiedzę uczniów. Wszystko zależy bowiem od zestawu pytań, który pojawi się w arkuszu, a także odporności ucznia na stres.

Reasumując, większość moich rówieśników stresuje się czekającym nas egzaminem, ale mimo to znaczna część trzecioklasistów jak na razie nie za-

mierza przykładać zbyt dużej wagi do powtarzania. Obecna formuła testów nie jest może idealna, ale jak stwierdziła jedna z moich rozmówczyń – „Do tej pory nie wymyślono nic lepszego”. Myślę, że każdy z nas zdaje sobie sprawę, jak ważne są wyniki egzaminów. Na powodzenie nie składają się jednak tylko wiedza i umiejętności, czasem trzeba mieć po prostu trochę szczęścia. Ja sama uważam jednak, że do wszystkiego należy podchodzić z odpowiednim dystansem oraz zachować zdrowy rozsądek. Do kwietnia mamy jeszcze dużo czasu. Chętni na pewno zdążą jeszcze solidnie wszystko przećwiczyć. Zresztą, jak podkreśliła jedna z moich koleżanek: „Nie warto stresować się takimi rzeczami. Można zacząć ewentualnie po”.

Integracja klas 1.

Artykuł autorstwa Ani Szewczyk

„WAKACJE MINĘŁY JAK SEN KOLOROWY” – TAKA NATURALNA KOLEJ RZECZY. ALE NIE WARTO SIĘ SMUCIĆ. SZKOŁA MOŻE BYĆ FAJNA, JEŻELI SPOJRZYMY NA NIĄ Z INNEJ PERSPEKTYWY:)

SZKOŁA – oprócz tego, że kojarzy się z nauką, pracami domowymi, jest też miejscem spotkań. To w niej poznajemy nowych ludzi, którzy bardzo często stają się naszymi przyjaciółmi, a nawet powiernikami serc.

NOWA SZKOŁA – NOWA PRZYGODA

W związku z tym zapytałam nowych uczniów, jak się czują w 1. klasie liceum czy gimnazjum. Okazało się, że aż 87, 8% spośród nich jest zadowolonych z pierwszych miesięcy w nowym otoczeniu. Jedynie 12, 2% stwierdziło, że w szkole jest nudno a dodatkowo jest zbyt wiele pracy.

By dowiedzieć się więcej na temat wrażeń związanych z przyjsciem do nowej szkoły, przeprowadziłam rozmowę z uczennicą klasy 1 e, Sylwią Klepczyńską.

Jak czujesz się w nowej szko-

le?

Dobrze, mam sympatyczną klasę, wdrażam się do nauki i się powolutku się przyzwyczajam.

Czyli ogólnie jest fajnie?

Tak, ale wolałam jednak etap gimnazjalny.

Dlaczego?

W gimnazjum była zupełnie inna atmosfera, znałam każdego nauczyciela, wiedziałam, czego mam się spodziewać. Każdy każdego znał, a tu jest zupełnie inaczej – większa szkoła i więcej ludzi, z którymi mijam się na korytarzach.

Nauczyciele też wpływają na

to, jak się tu odnajdujesz?

W znacznym stopniu tak, miło jest np. jak nauczyciel zwraca się od nas po imieniu, co oznacza, że mimo tylu uczniów pamięta praktycznie każdego.

A czy coś Cię rozczarowało?

Hmmm, raczej nie.

Chciałabyś coś zmienić?

Tak, nie lubię, kiedy mam na 9.00. Wolalabym mieć godzinę wcześniej i tym samym wcześniej wyjść ze szkoły.

A tłum przy szafkach Cię nie przeraża?

Czasem tak, ale nie taki diabeł

straszny, jak się go maluje, da się z tym żyć.

Dzięki za rozmowę.

Ja również dziękuję.

Akcja krwiodawstwa

Artykuł autorstwa Moniki Kozakiewicz oraz Jakuba Brojka

Dnia 24 listopada br. w naszej szkole trzeci rok z rzędu odbyła się akcja krwiodawstwa. Do poboru krwi przyjechał specjalnie przeznaczony do tego krwiobus z Warszawy wraz z pielęgniarkami z płońskiego punktu krwiodawstwa. Akcję tę koordynowały uczennice z naszej szkoły: przewodnicząca Szkolnego Koła PCK Aleksandra Kaczyńska oraz Magdalena Bielska, Iwona Gocejna i Aleksandra Balczerzak pod opieką sora Sławomira Kowalskiego.

Chęć udziału wyraziło 91 osób, z czego 50 podjęło próbę, a 36 osób zakończyło ją sukcesem – oddało 450 ml krwi. W trakcie poboru 14 osób poczuło się źle. Każda chętna osoba otrzymała słodką paczkę i tytuł honorowego dawcy.

Aby oddać krew, należało wypełnić ankietę dotyczącą stanu zdrowia i przebytych chorób, a także podać się ogólnemu badaniu.

Zakwalifikowane osoby decydowały się na spełnienie tego szlachetnego czynu.

Motywacją do oddania krwi dla większości była z pewnością chęć niesienia bezinteresownej pomocy innym. Na pewno zachętą było także otrzymanie słodkiej przekąski.

Zapytaliśmy kilka osób, jak czują się po oddaniu krwi oraz co sądzą na temat tej akcji:

- „Czuję się niespełniona, gdyż oddałam tylko 420 ml, jednak cieszę się, że podjęłam tę próbę. W trakcie półgodzinnego poboru piłam wodę, a zaraz po zjadłam całą tabliczkę czekolady”, Justyna

- „Jestem bardzo szczęśliwa, że udało mi się zrobić coś dobrego dla innych. Uważam, że to bardzo dobrze, iż takie akcje są organizowane w szkole, gdyż zachęca do wielu młodych ludzi do bezinteresownej pomocy”, Ola

- „Uczucie, jakie towarzyszy oddawaniu krwi, jest nie do opisanie. Mam świadomość tego, że mój czyn może przyczynić się do uratowania czyjegoś życia”, Krzysztof

Zapytaliśmy także Magdę, członkinię Szkolnego Koła PCK, o to, czy jej zdaniem akcja zakończyła się sukcesem:

- „Moim zdaniem akcja przebiegła zgodnie z planem, sprawnie i płynnie. Stale przybywało osób, chętnych do oddania krwi. Panie pielęgniarki miały ręce pełne pracy. Mam poczucie spełnienia, że wszystko się udało, a przewidywana liczba osób wzięła udział w akcji.”

W związku z dużą liczbą chętnych krwiobus odwiedzi naszą szkołę na początku kolejnego roku. Zainteresowanie akcją wskazuje na to, że młodzi ludzie nie stronią od bezinteresownej pomocy.

Apel kultury niemieckiej

Artykuł autorstwa Mateusza Gerasika

Zostałem poproszony o napisanie artykułu dotyczącego przygotowań do apelu z okazji Dni Kultury Niemieckiej. Z jednej strony było to duże ryzyko, ponieważ każdy zainteresowany dobrze zna moje zdolności humanistyczne. Z tego względu proszę o wyrozumiałość, gdyż powalające to one nie są.

O możliwości przygotowania apelu dowiedzieliśmy się niecały miesiąc przed wyznaczonym terminem. Zgłosiliśmy się bez dłuższego zastanowienia, ponieważ byliśmy pewni powodzenia po... hm... sukcesie apelu ekologicznego. Oczywiście każdy wie, że skleroza nie boli, w związku z tym w przeciągu kolejnych godzin lekcyjnych wyleciało nam to z głów. Po dwóch tygodniach padło pytanie, czy mamy już jakieś pomysły na skecze. Yhym, jasne, biorąc pod uwagę zaangażowanie, z jakim przystąpili-

śmy do ich wymyślania. Padły luźne propozycje i jedynie soraka miała konkretny temat. Tekst fajny, związany z Niemcami, lecz czegoś nam brakowało. Chcieliśmy dodać coś od siebie. Tu pojawiła się propozycja „TurboDymoMana”. Idea ambitna, lecz jak można zawstydzić naszych kochanych sąsiadów? Padło kilka złotych myśli, z czego wszystkie ambitne niczym teksty piosenek jednej z polskich, komercyjnych gwiazd. I wcale nie mam na myśli pewnej Małgorzaty (A. - red.), nie mówiąc już o Dorocie (R. - red.). Wtem Kinek, zwany Władysławem J., wpadł na genialny niczym idee PZPN pomysł rozwiązania problemu. Nie uderzajmy bezpośrednio w naród niemiecki, ale w ich przodków! Tak, zawstydźmy Krzyżaków! Historia pokazała, że źle nam to nie wychodzi. Raz się udało, może udać się i drugi. Zrobmy to z rozmachem – przyniesmy trzy

nagie miecze – co się będziemy ograniczać?! Bitwa pod Grunwaldem zamknięta. Co teraz? Trzeba zacząć poważnie się zastanawiać. W związku z występem takiej legendy, jak AutoRevers 2000, pewne było jedno – piosenki. Niemiecki przemysł muzyczny nie ma nic do zaoferowania. No, może Rammstein, ale to się nie nada dla pseudo Disco-Polowców. Zaśpiewajmy polskie piosenki! Pomysł ciekawy, lecz w jaki sposób jest to związane z Niemcami? Przecież są one tak samo szwabskie, jak Łukasz Podolski. I tu nastąpił przełom. Zaśpiewajmy po niemiecku! Mimo wszystko, przydało by się coś jeszcze, coś bardziej współczesnego. Tutaj Michał vel Witold okazał się nieoceniony. Uratowały nas – błyskotliwość i brazylijska fantazja.

Próby czas zacząć, czyli jak z chaosu powstaje COŚ. Schemat powtarzany już nie raz i w tym przypadku okazał się skutecznym. Początki zapowiadały przeciętny, a nawet bardzo przeciętny występ. Zupełny brak przygotowania, wizji, a tym bardziej humorystyki. Jeden wielki koszmar. W trakcie występów aktorzy, jeśli tak można ich nazwać, rozmawiali między sobą, śmiali się z samych siebie. Członkowie zespołu na ¾ prób nie mieli gotowych piosenek, na kolejne nie raczyli się ich nauczyć. No bo po co? To oni są tu najlepsi. Pojawił się kryzys. Przedostatnia próba – wszyscy znudzeni powtarza-



niem cały czas tego samego, co spowodowało zupełny brak zaangażowania, a w konsekwencji nudę. Spisywaliśmy już apel na straty. Jak będzie, to będzie, najwyżej się skompromitujemy. Zrezygnowana sorka pogodziła się już z żalonym obrazem naszej interpretacji relacji polsko-niemieckich. Aż tu próba generalna, powiedzmy, przełomowa. AutoRevers przygotował się, aktorzy z niecodziennym dla nich zaangażowaniem odgrywali swoje role, a

konferansjer (pozdro, Grzeliu! :) przestał się mylić podczas czytania. Nawet reakcja na wejście TDM-a była nie do przewidzenia. Podsumowując, rezultaty trudu i znoju naszej pracy przekroczyły najśmielsze oczekiwania. Apel można zaliczyć do udanych. Czekamy na kolejne propozycje...



Tochman – dlaczego fascynuje?

Artykuł autorstwa Michała Markiewicza

Wojciech Tochman jest postacią, z którą po raz pierwszy zetknąłem się całkiem niedawno. To autor reportaży, w których porusza szeroki problem samotności, przedstawiając całą paletę jej barw. Tochman za cel stawia sobie opisanie polskiej rzeczywistości, szarej codzienności, smutku i bólu. Na co dzień jesteśmy bombardowani różnego rodzaju informacjami (przeważnie telewizyjnymi) – o wypadku, zamachu, ataku terrorystycznym. Oczywiście nie ma nic w tym złego, to też jest częścią świata, której nie należy ukrywać. Ale czemu od razu popadać ze skrajności w skrajność? Bezwstydnie przyznam się, że takie informacje nie robią na mnie wrażenia, są mi totalnie obojętne. Zamach, giną ludzie, płacz, krew, wybuch, ogień, dym. Znieczulica (pewnie nie tylko moja) wywołana jest tym, że tego typu informacje przekazywane są w

nadmiarze. Tochman pisze książki, które – z niewiadomych przyczyn – nie odstrasza ją, a uzależniają. Może to sposób, w jaki pisze? Przekaz informacji telewizyjnej, od „tochmanowskiej” różni się tym, że ta pierwsza jest totalnie bezpłciowa, nudna – momentami irytująca. Reporter pisze w mocno ironiczny i metaforyczny sposób. Tematem jest człowiek, jego sytuacja we współczesnym świecie, zagubienie, zdezorientowanie. Czym reporter się kieruje przy wyborze swoich bohaterów? Nie szuka sensacji. Pisze o normalnych ludziach. O tych, którzy mogliby żyć wśród nas. O tym, jacy są i jacy chcieliby być. Sam autor twierdzi, że jego bohaterowie, choć zwyczajni, są jednocześnie ludźmi niezwykłymi. Mają ponadludzką siłę. Jego rozmówcy to bohaterzy życia codziennego. Reporter tworzy z nich symbole, lecz nie gloryfi-

kuje, dzięki czemu nie są postaciami papierowymi. Czytelnik ma wrażenie, że może spotkać ich na rogu ulicy. W domu obok. Wszędzie. Kolejną cechą charakterystyczną tego reportera jest to, że jego teksty można nazwać portretami. O ile słowom do zdjęć daleko, o tyle przełamanie bariery językowej zdecydowanie ułatwi nam doszukanie się w tekście szarych zdjęć – obrazów ludzi zagubionych, osamotnionych.

Tochman pokazuje świat, życie w różnych jego wymiarach. Ludzi, którzy nie boją się zderzyć z życiem i czerpać z niego garściami, należy podziwiać i naśladować. A tym, którzy mają odwagę i głowę do tego, żeby pisać – być wdzięcznym za pracę, którą wykonują dla czytelników. Oczywiście każdy ma prawo wyboru – nie wszyscy muszą ratować świat i iść pod prąd. Mogą żyć normal-

nie, z dnia na dzień. Całe szczęście są też ci, którzy uważają, że życie jest bardziej wartościowe, kiedy prowokuje się los. Tochman tym się właśnie cechuje. Jest w dodatku skromnym człowiekiem. Nie uważa się za nikogo wielkiego, niezwykłego. Podziwia bohaterów swoich reportaży. Czasami mam wrażenie, że się nie docenia albo nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielką pracę wykonuje. Czytelnik

jednak na tym zyskuje. Tacy ludzie z pewnością mają w życiu trudniej, więcej widzą, więcej z życia wynoszą – więcej muszą udźwignąć. To człowiek samokrytyczny. Bagatelizuje znaczenie

swoich reportaży. Uważa, że „Reporter nie podróżuje i nie pisze po to, żeby reperować świat. Może tylko próbować, starać się pisać tak, by poruszać. Tyle może.” O ile Tochman nie docenia swojej siły, o tyle zdaje sobie sprawę z mocy reportażu. Mówi, że reporter nie może być bezkarny w tym, co robi, że jest odpowiedzialny za swojego bohatera. Będąc reporterem... Staje po stronie człowieka. Walczy o swoje ideały nawet kosztem pisanego reportażu, swojej popularności.

Wie, że kontakty reportera z bohaterem reportażu są czasami bardzo bliskie, prywatne. Bardzo trudną rzeczą jest w takim razie przekazanie tej relacji czytelnikom, bez wylania osobistych, niepisanych tajemnic reportera i bohatera, a już na pewno ciężko zrobić to w ciekawy sposób. Tochman robi to perfekcyjnie. Celem tego reportera jest zaszokowanie widza, żeby to zrobić, sam musi stać



się człowiekiem w oczach swoich rozmówców. Tochman mówi, że dziennikarze słusznie mają reputację hien, więc on spotykając się z bohaterami swoich przyszłych reportaży musi udowodnić, że on tą hieną nie jest. Nie przyszedł żerować. Musi przełamać lody, zbić szybę oddzielającą go od wnętrza swoich rozmówców. Tochman nie tylko jest świadkiem relacji. Przeżywa dramat razem z ludźmi dotkniętymi tragedią. Nie zna odpowiedzi na wiele pytań. Szuka jej, jest jej ciekaw, krąży

wokół tajemnicy, ale sukces tych poszukiwań jest mocno wątpliwy. Nawet jeśli uzyska odpowiedź, często jest ona niewystarczająca i stara się spojrzeć na problem nie tyle od nowa, co z innej strony. Reporter ten kocha szczegóły. Twierdzi, że uwiarygodniają reportaż, że to życie wymyśla niesamowite szczegóły. Moim zdaniem jest w tym coś więcej. Kiedy opisuje np. zmarłych maturzystów, informuje nas o tym, jak wygląda-

li, jakie mieli plany na przyszłość, kolor włosów. Już nawet nie chodzi o to, że stara się nam te osoby narysować za pomocą słów. On opisuje rzeczy ważne

dla ich rodziców. Jaki ma w tym cel? Powodów może być co najmniej kilka, ja uważam, że robi to, aby ci ludzie stali się bliżsi czytelnikowi. Aby nie traktować ich jako kogoś dalekiego, niedostępnego. Pokazuje ich normalność, marzenia, plany, zainteresowania – że byli tacy jak my.

Tochman to reporter/pisarz pełen paradoksu, sprzeczności. W reportażach ukrywa sam siebie. Chowa się,

na pierwszy plan wysuwając człowieka. To on jest najważniejszy. Chociaż pisze o ludziach, nie pozostaje do końca obcy czytelnikowi. Tym, co rzuca się w oczy, jest jego wrażliwość i specyficzne podejście do pisania, do swojej pracy, do życia. Często ironizuje, kpi, wytyka błędy. Oczywiście nie wprost. Zachowuje obiektywizm, swoją obecność w reportażu ogranicza do minimum – to zwykły człowiek jest jego głównym bohaterem. Czasami pozwala sobie na podsumowanie historii czy drobną, jednozdaniową refleksję wyrażoną wprost. Zdecydowanie częściej widać jego niemy krzyk, niepisana, nieuchwytną ale w jakiś magiczny sposób widoczną i wyczuwalną obecność. Sam twierdzi, że nie ma reportażu

obiektywnych – słusznie. Forma reportażu Tochmana na pewno do takiej należy, ale jeśli skupilibyśmy się na pojedynczym tekście i przeanalizowaliśmy krok po kroku – przeczytaliśmy ciekawą historię złośliwca, człowieka o (wydaje mi się) ciekawym wnętrzu i osobowości. To wrażliwość kształtuje styl pisarstwa, Tochman w nią trafia. Nie wiem czemu, ale opisywane przez niego sytuacje przykuwają moją uwagę. Gdybym podobną historię usłyszał w radiu czy telewizji, pewnie nie zwróciłbym na nią uwagi. Choć to pewnie głupio zabrzmiało, wydaje mi się, że jego książki uczą w pewien sposób życia. Dowiadujemy się o cudzych problemach, tragediach i takie przestrogi łatwiej odnieść nam do swojego życia. Książki Toch-

mana zaliczają się w pewnym stopniu do instrukcji obsługi. Z tą drobną różnicą, że nie podaje ona jak dany przedmiot wykorzystać, a czego nie zrobić, żeby nie zepsuć i pozostawić w jak najlepszym stanie. „Ironia życia leży w tym, że żyje się je do przodu, a rozumie do tyłu” – tak powiedział Søren Kierkegaard. Mądre i prawdziwe słowa. Żyjąc cały czas do przodu, a rozumiejąc do tyłu wychodzi na to, że jesteśmy nieświadomi tego, co robimy teraz, w tej chwili. Paradoksalnie większość z nas stara się w jakiś sposób kontrolować i świadomie przez to życie przechodzić, przeżyć je. Z czasem nabieramy doświadczenia, warto więc uczyć się na błędach, to bardzo opłacalne. Najlepiej cudzych.

Muzyka – jaka była, jaka jest ?

Artykuł autorstwa Kingi Langiewicz

Muzyka jest nieodłączną częścią życia człowieka. Słucha jej każdy bez względu na wiek, wykształcenie czy rolę społeczną. Oczywiście jest, że różni się ona brzmieniem i przesłaniem. Trudno wyobrazić sobie siedemdziesięcioletniego mężczyznę siedzącego przed telewizorem, oglądającego najnowszy teledysk Lady Gagi, choć zapewne i takie indywidualia są spotykane. Trudno jest też wymagać od młodych ludzi, w wieku szkolnym, by słuchali Elvisa Presley'a czy muzyki Czesława Niemena. Kiedyś czarne, duże gramofony

nowe płyty, zajmujące mnóstwo miejsca, dzisiaj – „małe” płyty CD, o coraz większej pojemności. Wiele lat temu gramofony, obecnie najlepszej firmy odtwarzacze. Różnic jest wiele, ale zapotrzebowanie na muzykę gorszą czy lepszą istniało, istnieje i istnieć będzie. A to jaka ona jest, zależy od subiektywnej oceny słuchacza. Chociażby kilkanaście lat wstecz na światowych listach przebojów królowały takie przeboje jak: „Final Countdown” zespołu Europe czy Guns N' Roses „Paradise City”. Znane były takie grupy jak Pink Floyd, The Cure, Depeche

Mode. Część z nich na przykład nadal tworzy i nagrywa nowe utwory. Może nie są to już hity na miarę tamtych lat, ale liczą się dobre treści. W Polsce za to sławą cieszyli się wspomniany już Czesław Niemen, Marek Grechuta, Maryla Rodowicz, Perfect, Lady Pank, Dżem z niezapomnianym Ryśkiem Riedlem, Republika. Przynajmniej część z nich nadal pojawia się na scenie, chociażby na festiwalach jako goście honorowi, jednak publiczność i tak z zapartym tchem wyczekuje „artystów” na miarę Dody czy Gosi Andrzejewicz. Cóż...

o gustach się nie dyskutuje.

Niestety prawda jest przygnębiająca. Dzisiejszym rynkiem muzycznym, nie tylko polskim, ale i światowym (co jest tym bardziej porażające), zawładnęły sylikonowe, sztuczne, tlenione blondynki w lateksowych spódniczkach. Przygnębiający jest też fakt, że wszystkie nagrywane dziś piosenki są identyczne, mają takie samo brzmienie. Słuchając radia, czasami zastanawiam się, czy to Cascada, czy może inna, równie uzdolniona „artystka”. Zero oryginalności i odrębności.

W ostatnim czasie wiele mówi się o komercji. Niestety i jej wpływowi ulegają dzisiejsi wykonawcy, kierują się modą i tym, co jest w danym czasie „brane”, „kupowane”. Nie trzeba daleko szukać. Popatrzmy chociażby na Agnieszkę Chylińską, niegdyś szanującą, cieszącą się nieudawanym zainteresowaniem z niezłym głosem wokalistkę O.N.A. Powiem szczerze, że z zaciekawieniem wypatrywałam jej nowej płyty, wydanej po kilkuletniej przerwie. Kiedy usłyszałam i zobaczyłam teledysk najnowszej piosenki, nie ukrywałam również swojego rozczarowania. Myślę, że jak większość słuchaczy oczekiwałam hitu na miarę „Czy warto było”, a co otrzymaliśmy? Kolejny z serii „wyrób” kiepskiego producenta. Dostaliśmy utwór nieróżniący się niczym od innych.

Na rynku muzycznym spotyka się też liczne „przeróbki”

starszych utworów na nowe, bardziej „trendy”. Niestety, rzadko kiedy a właściwie w ogóle nie są one lepsze od swoich pierwowzorów. Czasami zastanawiam się, co się stało ze współczesną muzyką? Dlaczego większość młodych ludzi słucha techno i disco polo, zwanego ładniej mu-



Jimi Hendrix. Czy dla współczesnej młodzieży też jest wirtuozem gitary?

zyką taneczną?

Szukając materiałów do tego tekstu, natykałam się na różne opinie na temat tej starszej i nowszej muzyki. Zdania te są dość podzielone. Młodzież pisze: „Dla mnie Rodowicz, Lombard, Grechuta to przestarzałe gwiazdy”, ludzie w średnim wieku natomiast: „Do dziś rozbraja mnie solówka Jimiego Hendrix'a w „All Along The Watchtower” (...) do dziś stawiam ten kawałek wyżej niż utwory wielu gitarzystów współczesnych. Stare płyty R.E.M, nieśmiertelny „Final Co-

undown” Europe, Kraftwerk, który zrodził całą współczesną muzykę elektroniczną i taneczną. Suzanne Vega „Marlene on the Wall”. Kawał dobrej muzyki to też James Brown i cały ruch funkowy. A co do gwiazdek sezonu, kiedyś też były, ale nie w takiej nachalnej formie jak dziś...”. To wypowiedzi dwóch pokoleń. Różnice są kolosalne.

Uważam, że młode pokolenie po prostu nie stara się poznać tych wykonawców i ich twórczości, których fanami byli ich rodzice. Skreślamy tych artystów na samym początku, tak naprawdę nic o nich nie wiedząc, nie mając pojęcia, czym zasłynęli.

O kulturze disco-polo

Artykuł autorstwa Kamila Fijalskiego

Rok 1998. Niedziela w typowej polskiej rodzinie. Godzina 10:29. Już wszyscy zbiegają się do salonu. Każdy stara zająć się jak najlepsze miejsce. Telewizor wyświetla ostatnią reklamę. Na chwilę ekran staje się czarny... Godzina 10:30. Wszyscy cieszą się już na widok żółtego koloru z czołówki programu muzycznego „Disco Relax”!

Przez następne pół godziny domownicy słuchają znanych hitów i wyczekują z niecierpliwością na nowe propozycje od swoich idoli. Dzieci jak to dzieci, szukają mocnych wrażeń, więc uwielbiają piosenki melodyjne, wpadające w ucho. Kobiety bardziej niż na muzykę zwracają uwagę na panów w czarnych okularach i włosami na żel. Mężczyźni za to lubią spokojne melodie damsko – męskich duetów.

W latach 90. ubiegłego wieku Polskę opanował szal na tzw. muzykę disco i naszą rodzimą odmianę disco polo. Płyty zniknęły z półek, a telewizja przyciągała miliony widzów podczas wyświetlania takich programów jak ww. „Disco Relax” czy legendarny „Disco Polo Live” z równie legendarną czołówką (okulary przeciwsłoneczne krążące wokół sześcianopodobnego obiektu na żółtym tle :)). Do pełni (nie)szczęścia brakowało w tamtych czasach jeszcze odpowiedniej liczby ściągniętych plików z rozszerzeniem .torrent.

Jednak z biegiem czasu, popularność tej muzyki malała.

Płyty nie sprzedawały się już tak dobrze, koncerty nie gromadziły już takich tłumów jak kiedyś. W końcu zniknęły też i programy telewizyjne... Ludzie jakoś niechętnie włączali w domowych odtwarzaczach disco i równie niechętnie słuchali jej, gdy jeszcze niekiedy w radiu usłyszeli jakiś hit z ubiegłego roku...

Dziś muzyka typu disco polo to przedmiot kpiny, żartów, drwin i tego wszystkiego, co możemy po prostu wyśmiać. Rzadko kto przyzna się, że słucha takiej muzyki, ba!, rzadko kto przyzna się, że kiedyś też jej słuchał. Współczesna młodzież wybiera przede wszystkim kierunki ekstremalnie komercyjnego techno, trance’u i niekomercyjnego (przynajmniej z samego założenia) rocka, metalu i pochodnych. Teraz DP jest już tylko dobre na dyskoteki (a tam, każdy zna słowa wszystkich piosenek!), bo przecież nikt nie będzie tańczył przy Metallice czy Anthraxie. Nawet w jednej ze swoich piosenek Pidżama Porno śpiewa: „...nigdy w życiu nie pokocham dziewczyny, która słucha disco polo...”.

Szkoda, że dziś tak bardzo odgradzamy się od tej muzyki, która kiedyś biła rekordy wszelkiej popularności. Czasem jeszcze niektórzy wykonawcy chcą podjąć próbę reaktywacji disco na naszym rynku mu-



zycznym, jednak bezskutecznie. Płyty nie chcą się sprzedawać, na koncerty przychodzą tylko rodzina i przyjaciele, nawet nikt nie pobierze płyty z Internetu...

A jednak żałuję, że tak się stało, bo mimo wszystko disco polo to kawał polskiej historii :) Śpiewano przecież o sukcesach Adama Małysza, polskich piłkarzy, czy innych ważnych wydarzeniach, w których jednak dominuje sport. Dziś już nikt nie pamięta, o czym śpiewali Akcent, Impuls czy Buenos Aires. Tylko pojedyncze piosenki utkwiły każdemu z nas w pamięci. I właśnie tu pozostaje największy ślad tej muzyki. Bo wg mnie, nie ma nikogo, kto nie znałby „Jesteś szalona” czy innych hitów najpopularniejszego i koncertującego do tej pory z różnym skutkiem zespołu Boys.

Właśnie w naszej pamięci zostanie największy ślad niedzielnego poranka lat 90 – 99. I nikt wtedy nie marudził, że ma serial w telewizji, że jest mecz, że obrady sejmu... Bo wtedy liczył się tylko Disco Relax!

Jeśli chcesz sobie pobluzgać na autora, to pisz: exolrius@gmail.com

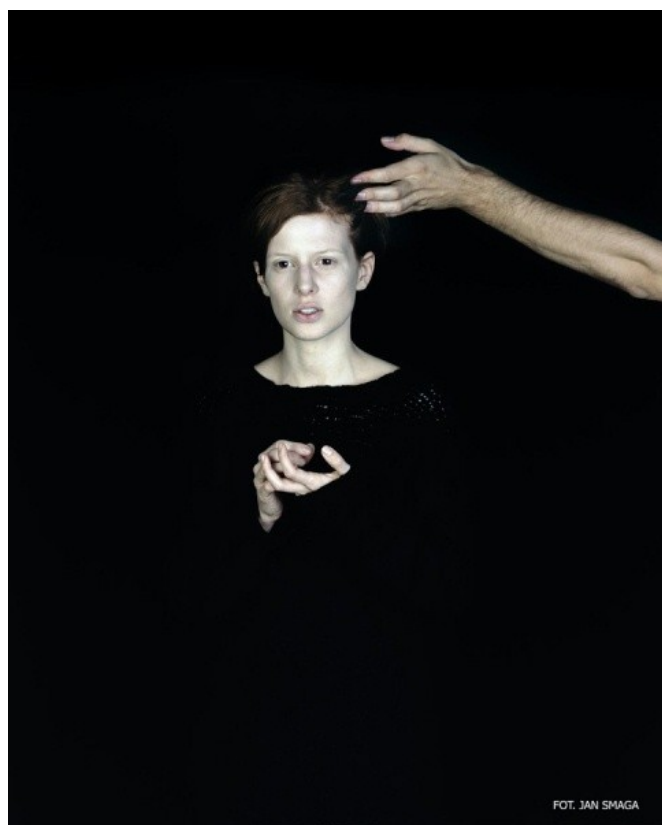
Lipiec

Artykuł autorstwa Mateusza Bajkowskiego

A więc... Nie. Nie zaczynam zdania od „a więc”. To niedopuszczalne, można by wręcz rzec – niewybaczalne. A więc... Dzień wyjazdu do Teatru na Woli był dniem przeze mnie wyczekiwanych. Chciałbym podzielić się z Wami relacją z, jak się później okazało, niezwyklej sztuki i okazji do obejrzenia fenomenalnej gry aktorskiej. Tytuł sztuki – „Lipiec”. Niepozorny, lecz zastanawiający. Sam spektakl niektórym mógłby się wydać odrzucający, lecz ja spodziewałem się czegoś mocnego – i to dostałem. Gdy rozległ się głos ostatniego dzwonka, wszyscy zajęli swoje miejsca, zapadła cisza. Publiczność poproszono o wyłączenie telefonów. Gdzieniegdzie dało się zauważyć ludzi, którzy faktycznie wy-

łączali swoje komórki. Inni, być może żalując, być może nie, zapomnieli telefonów lub po prostu ich nie mieli. Pozostała część, jak mi się wydaje, stwierdziła: „Eee tam... Nie przesadzajmy, nikt do mnie nie zadzwoni”. Jacy oni są naiwni. Przecież zawsze takie rzeczy dzieją się w najmniej oczekiwanym momencie. Tak było i tym razem. Aktorka, a właściwie „odtwórczyni tekstu”, wyszła na scenę i... W milczącej sali rozległ się, początkowo bardzo cichy, później coraz głośniejszy, dzwonek telefonu. Chyba miała „narastający”. Właścicielka torby, która, otwarta, działała niczym tuba wzmacniająca, rozpoczęła poszukiwania. Jednak, jak to zwykle w damskiej torbie bywa, nie mogła znaleźć niczego. W jednej sekundzie stała się obiektem zainteresowania wszystkich – tu, niestety, chwilowo zastąpiła aktorkę. Karolina Gruszka, bowiem takie imię nosiła owa aktorka, cierpliwie czekała stojąc przed statywem mikrofonu. Wtem, Pani-Od-Telefonu wpadła na świetny pomysł i zastosowała metodę „prędzej to wy-

macam”. I faktycznie, podziałało. Jeszcze chwilę, Pani Aktorko, jeszcze chwilę. Krótkie spojrzenie na ekran telefonu i... Nie, jednak trzeba odebrać. Wybaczcie mi, za chwilę wrócę. Wyszła. Gruszka, wzruszając ramionami, rozpoczęła sztukę. Kilka słów wypowiedzianych głośno i wyraźnie, z zaznaczonym emocjonalnym zaangażowaniem, aż tu nagle drzwi się rozchylają i wchodzi Pani Nie-Mogłam-Tego-Nie-Odebrać. Pani G. spojrzała na nią przezywającym wzrokiem z miną „zjadłam-przed-chwilą-tort-czekoladowy-w-który-ktoś-włożył-kilogram-prapryczek-chili-i-nic-mi-nie-powiedział”. Jednak, jako zawodowa aktorka, nie przejęła się tym specjalnie i zaczęła swoją mistrzowską grę. Kilkanaście pierwszych zdań, wypowiedzianych – jak prawie cała reszta spektaklu – z szybkością kałacha kupionego na targu (no dobra, może nie na targu) od rosyjskiego eksportera, zajmującego się przy okazji setką innych nielegalnych działalności (ale taki już świat, z czegoś człowiek musi się utrzymać, nieprawdaż?). W każdym razie te kilkanaście zdań zapowiadało niezapomniane widowisko. Nie rozczarowałem się. Pomimo samotności na scenie (pod koniec wystąpiło tylko trzech śmiesznie ubranych panów – synów głównego bohatera), wykonawczyni odwaliała kawał dobrej roboty. Bawiła się tekstem, mówiła z polotem. A tekst nie był łatwy. Był... przerażający, być może obrzydliwy



FOT. JAN SMAGA

i ohydny, ale jednak metaforyczny i poetycki. Idealne wyważenie słowa poetyckiego z wulgaryzmami i językiem potocznym. Dało się odczuć bijącą z aktorki pewność siebie. Ona była twórczynią tego tekstu, jego mistrzem. Potrafiła z nim zrobić niemal wszystko.

Treść sztuki można interpretować na wiele sposobów. Jest to historia psychopatycznego ludźcy, który za wszelką cenę pragnie się dostać do szpitala psychiatrycznego w niedalekiej miejscowości. Początek spektaklu to dramat sąsiedztwa.

Główny bohater opisuje swojego bezczelnego, głupiego, beznadziejnego sąsiada oraz jego psa, któremu – w ramach sąsiedzkiej przysługi (jednak miał w tym również swój interes) – podarował łańcuch. No cóż, skoro ten sąsiad jest taki beznadziejny – zabijmy go. W końcu nikomu to nie zaszkodzi. Aktorka opisująca krwawą jatkę dała się ponieść emocjom i zabrała z nimi całą publikę. Onie miałem z wrażenia. Główny bohater, pod napływem myśli rodem z „Kryminalnych Zagadek CSI”, wyjeżdża do miejscowości, w której znajdował się jego cel (psychiatryk). Tam postanawia zwyczajnie spędzić kilka dni pod mostem, gdzie bawi się w przetrwanie w miejskiej dżungli bez pieniędzy, jedzenia i picia. Radzi sobie. Zabija psa, je go w połowie, pije deszczówkę zebraną do puszki po konserwie. Kolejnym miejscem odwiedzin naszego bohatera jest świątynia. Początkowo jest onieśmielony i zdezorientowany. Jednak spotyka popa, którego zabija (i jest to śmierć w męczarniach). Tym sposobem

trafia do swojego ostatecznego celu, gdzie spędza sześć lat. Sześć straconych lat, które przeżył jako „roślina” (pod wpływem środków, które mu podano). I wtedy nagle, niczym światło w tunelu – w pielęgniarnie – widzi swoją ukochaną z lat młodości. Nie daje sobie wmówić, że to jednak nie ona. Co zrobić? Dostępne są trzy wyjścia. Pierwsze – zabić i zjeść ją, co zajęłoby mu około dwóch godzin. Może trzech. Drugie – szybkim susem przeskoczyć do człowieka stojącego w rogu, którego nienawidził za to, że cuchnęło od niego wazeliną. Trzecie – porozmawiać ze swoją młodocianą miłością. Wybiera trzecie, jednak później decyduje się połączyć je wszystkie. Początkowa rozmowa przekształca się w krwawą jatkę. Zjada swoją ukochaną.

W tej sztuce daje się zauważyć kilka mocnych, symbolicznych scen. Zabicie popa w męczarniach – jest tu zawarta chęć niesienia pomocy. Nasz bohater pragnie, aby pop miał jak najlepsze życie pośmiertne. Zabija więc go w męczarniach, w celu zrównoważenia dobrobytu ziemskiego i niebiańskiego. Większe męki za życia – lepsze życie po śmierci. Daje się tu zauważyć bezinteresowne i całkowite poświęcenie się religii i wiary w istoty, zjawiska, wydarzenia i relacje metafizyczne. Kolejna – kobieta przy łóżku, rzekoma miłość młodzieńcza, nie jest zrażona tym, że jej pacjent jest oblepiony brudem. W końcu był rośliną. A jednak pragnie mu pomóc. Dobro w najczystszej postaci. I nagle – pacjent zabija ją i zjada z zimną krwią. Z miłości. Z pragnienia.

Jest to swoisty akt połączenia kochanków. Bohater wie, że to połączenie metafizyczne. Jej dusza z pewnością zamieszka w nim na wieki, będą połączeni do końca życia.

Bohater spektaklu jest człowiekiem, który nie wyróżnia się z tłumu. Jest jak każdy inny. Jednak nie boi się wygłaszać swoich poglądów. Co więcej, czasem omija część słowną i przechodzi do czynów. Działa inteligentnie i z premedytacją. Jest w pełni świadomy popełnianych zbrodni. W końcu to właśnie czyni w dzisiejszych czasach licząc się najbardziej. To społeczeństwo ma problem. Nie rozumie intencji bohatera, myśli zupełnie innymi kanonami, narzucanymi przez ludzi, którzy coś w tym świecie znaczą. Jest to swoisty bunt, chęć uwolnienia się od więzów otaczającego nas świata. Niczym romantycy słowami – nasz bohater czynami.

Podsumowując: Podróż do teatru – 18 zł, bilet – 30 zł, obejrzenie spektaklu – bezcenne.

Dla mnie bomba

Artykuł autorstwa Damiana Brudzyńskiego

Dnia 23 X 2009 r. wybraliśmy się małą, kilkunastoosobową grupą do Teatru Żydowskiego w Warszawie na spektakl pod tytułem: „Dla mnie bomba” w reżyserii Gołdy Tencer. Zanim przejdę do omówienia przedstawienia, chciałbym wspomnieć jednak o kawiarni znajdującej się w budynku teatralnym, ponieważ, no cóż, zrobiła nam nie wrażenie – szczególnie, że spędziliśmy tu kilkadziesiąt minut w oczekiwaniu na początek spektaklu. Niczym niewyróżniająca się na pierwszy rzut oka kawiarenka ma bardzo ciepły i relaksujący klimat, który sprzyja interesującej rozmowie przy kawalku szarlotki i filiżance ciepłej kawy. Owa kawiarnia również pozwala wprawić się w dobry nastrój przed czekającym nas widowiskiem artystycznym. Więc pamiętajcie – jak będziecie w Teatrze Żydowskim w Warszawie, to najpierw kawiarnia, potem spektakl.

Gdy siedzieliśmy przy zgaszonym świetle w niezbyt wygodnym fotelu, ale spełniającym mimo wszystko normy, by wytrzymać w nim dwie godziny bez bólu krzyża, przywitała nas melodia z okresu dwudziestolecia międzywojennego odtwarzana z gramofonu-atrapy. Zapowiedzi całego widowiska udzielił nam dyrektor teatru – Szymon Szurmiej, który pozwolił sobie na kilka trafnych żartów, świadczących o tym, że spektakl nie będzie o poważnej tematyce. I całe szczę-

ście! bo kto w piątek wieczór chciałby zgłębiać poważne treści? Wi-



dowisko było mieszaniną skeczy oraz tanecznych i muzycznych show wykonywanych przez aktorów i orkiestrę, umiejscowioną w lewym rogu za ścianą sceny. Całości dopełniła bardzo dobra aranżacja sceniczna, a klimatu dodawały wyświetlane na ekranie projekcyjnym, ukrytym w dużej „szafie”, zdjęcia, również przedstawiające lata przed lub powojenne.

Jeżeli chodzi o samo przedstawienie i grę aktorską, to, szczerze mówiąc, ciężko do czegoś się przyczepić. Każdy skecz był przemyślany, dopracowany, a co najważniejsze – pochłaniał widza. Znalazł się nawet jeden występ „interaktywny”, dla całej publiki. Cała zabawa polegała na krzyknięciu: „Wiśniewska, Wiśniewską lub Wiśniewskiej” w odpowiednim momencie, gdy aktorka dała subtelny znak. Wbrew pozorom publiczność bawiła się przy tym wybornie, żywo reagując na każdy moment. Mała rzecz, a cieszyła niesamowicie. Jednak momentem wyczekiwany przez każdego było pojawienie się na scenie wybitnego aktora, o którym

wspomniałem już wyżej – Szymona Szurmieja, który miał okazję rozbawić każdego w kilku skeczach. Stał się on szybko ulubieńcem całej sali, gdyż jak na starszego pana posiadał ogromny zapas energii i naturalnej radości. Dlatego też pod koniec przedstawienia on i cała obsada aktorska otrzymała gromkie brawa, a wychodzącym widzom pozostał uśmiech na twarzy – czyli z całą pewnością najlepsza oznaka udanego spektaklu i dobrze spędzonego czasu.

Jeżeli ktoś chce obejrzeć ciekawe, zabawne widowisko, pełne ciętych, błyskotliwych dialogów oraz przyjemnej dla oka, lecz niewywołującej euforii choreografii tanecznej z nutką dobrego śpiewu, to polecam wyżej opisane przedstawienie, bo jeżeli chodzi o moje subiektywne odczucia to: „Dla mnie bomba”!

Szukając Graala

Artykuł autorstwa Krystiana Grzelaka

Latający nad głową popcorn, brudne krzeselka, nogi niemieszczące się w przeznaczonym dla nich miejscu – mniej więcej w takich warunkach przyszło mi oglądać (hmm... może używam tego słowa nieco na wyrost) spektakl ze *Świętym Graalem* w tytule. Zanim jednak przejdę do dalszej części, chciałbym wyjaśnić, iż raczej nazywanie tego czegoś, co właśnie czytacie, recenzją, jest błędne. Ja określiłbym ten tekst raczej mini-relacją – w końcu nie przeczytacie tu zbyt wiele treści na temat samego spektaklu. Nie byłem zwolennikiem pisania tego tekstu, ale cóż – jak mawiał klasyk – *nie chcem, ale muszem*. Nie przedłużając zatem, zapraszam na chwilę, mam nadzieję, miłej lektury. Zaczynamy!

Nie napiszę, że przesiadanie w płońskim kinie było dla mnie przyjemnością, bo nie chciałbym kłamać. Nie mam też zamiaru ukrywać, że główną motywacją do pojawienia się na tym przedstawieniu była chęć opuszczenia lekcji – bo w końcu któż o zdrowych zmysłach nie urwałby się dobrowolnie z fizyki i chemii w piątkowe popołudnie? Liczyłem na to, że będzie miło i ciekawie, ale... zawiodłem się niemiłosiernie. Zaczęło się obiecująco – efekt mrugania światła rzeczywiście stworzył klimat reklamy, ale na dłuższą metę był tylko uciążliwy dla oczu. Duże zdziwienie wywo-

łało osadzenie spektaklu we współczesnej aranżacji. Z pewnością miało to wzbudzić ciekawość i zainteresowanie młodzieży, ale nie jestem do końca przekonany, czy autorzy zrealizowali zakładany wcześniej cel. Żarty, które miały rozweselić wymagającą, bądź co bądź, publiczność, nie okazały się skuteczne i zamiast śmiechu wzbudzały zażenowanie. Przyznam szczerze, iż do tej pory tak naprawdę nie wiem, o co chodziło w całym tym przedstawieniu. Mnóstwo połączonych ze sobą wątków czy kilkukrotne wracanie do tego samego punktu sprawiły, że młodzież miała dobrą rozrywkę, tylko męczyła się kolejnymi minutami spędzonymi w klimatycznym (nie mylić z klimatyzowanym, bo było gorąco jak w piekle) pomieszczeniu. W pamięci zapadł mi szczególnie moment, kiedy po jednej ze scen zgasło światło, każdy zaczął oklaskiwać aktorów z nadzieją, że to już koniec. Gdy jednak okazało się, że mają oni coś w zanadrzu, po sali rozległ się jęk rozczarowania. Cóż, aż mi się zrobiło szkoda tych ludzi, którzy spędzili mnóstwo czasu na przygotowaniu tego przedstawienia. Nie można się jednak dziwić mojej reakcji – mam w końcu pełną wrażliwości duszę *humanistanta* (tak, właśnie tak miał wyglądać ten wyraz – pozdrowienia dla kolegi Michała z *pierwszej ce*). Stłumiony i słabo słyszalny dźwięk dopełnił tylko obrazu kiepskiego spektaklu. Całe

szczęście, że rozrywkę miałem dostarczoną praktycznie od samego początku do końca, kiedy to toczyliśmy fascynującą rozgrywkę w *"głuchy telefon"*. Nie będę przytaczał może tutaj haseł, które były przekształcane, bo zdaję sobie sprawę, że łamy szkolnej gazetki nie są odpowiednimi do publikowania takich treści. Cieszy jednak fakt, że klasa 1b nawet w najtrudniejszych warunkach potrafi wyjść z opresji obronną ręką i znaleźć ciekawą rozrywkę.

Dobra, koniec tego dobrego. Nie chcę dalej znęcać się nad tym, co widziałem, dlatego najrozsądniejsze będzie zakończenie tej farsy. Żeby trochę osłodzić tę "recenzję", przytoczę jednak motto, które udało się zapamiętać. Ludzie, pamiętajcie, *"Graala każdy musi odnaleźć w sobie"*! No, to było ostatnią rzeczą, którą zdołałem zarejestrować przed słodkim odpłynięciem do krainy snów...

Głośniejsze od bomb

TEKST AUTORSTWA
ANI SZEWCZYK

W poniedziałek dnia 09 listopada w Płońskim kinie kalejdoskop odbyła się „Lekcja w kinie”, która przybliżyła nam polskie kino niezależne. Uczestnicy tego wydarzenia poznali jedno z najważniejszych zjawisk współczesnej kultury audiowizualnej, obejrżeli fragmenty najbardziej reprezentatywnych dzieł polskiego kina niezależnego, dowiedzieli się, czym charakteryzuje się poetyka filmu offowego, przekonali, dlaczego film offowy może być traktowany jako przejaw postmodernizmu w kinie a także po lekcji obejrżeli jedno ze sztandarowych dzieł polskiego kina niezależnego, wielokrotnie nagradzany film Przemysława Wojcieszka „Głośniejsze od bomb”. Film opowiada historię, która dzieje się w małym miasteczku gdzieś w Polsce, w którym umiera ojciec Marcina, głównego bohatera - mechanika samochodowego. Marcin, aby opiekować się chorym rodzicem, kilka lat wcześniej rzucił studia. Nie ma żadnej bliskiej rodziny, więc w przygotowaniach do pogrzebu pomaga mu Kaśka, jego dziewczyna, z którą spotyka się od wielu lat. Kaśka otrzymała propozycję wyjazdu do Stanów. Jej rodzice uważają, że to wielka szansa, która umożliwi jej lepszy start w życiu. Marcin boi się jednak, że dziewczyna już nigdy nie wróci z oceanu...

„Głośniejsze od bomb” jest filmem bardzo prawdziwym,

traktującym o sprawach poważnych, ale czyni to w sposób niezwykle nam bliski. Problemy i rozterki ekranowych bohaterów nie są wydumane. Obraz pełen jest wyrazistych, niekiedy wręcz karykaturalnych postaci. Największą gwiazdą obrazu jest bez wątpienia zafascynowany kulturą amerykańską i niemieckim techno wujek Marian, wspaniale zagrany przez Andrzeja Gałłę. Przechodząca, potraktowana nieco z przymrużeniem oka postać jest, podobnie jak cała historia, niezwykle prawdziwa. Nie ma w niej sztuczności.

Wspaniale na dużym ekranie prezentuje się także Magdalena Schejbal jako Jagoda, młoda dziewczyna, która pod wpływem poezji Haliny Poświatowskiej postanawia zmienić swoje życie.

Nieźle wypadli również odtwórcy głównych ról, czyli Sylwia Juszczak i Rafał Maćkowiak.

TEKST AUTORSTWA
MONIKI LUTOMIERSKIEJ

Zacznijmy więc od początku. Dnia 9 listopada roku pańskiego 2009 prawie cała szkoła wesoło wyruszyła do sali kina Kalejdoskop na „Multimedialną Lekcję Polskiego” w celu zaczerpnięcia odrobiny wiedzy ze źródła innego niż nasze podręczniki.

W drugim rzędzie i w doborowym towarzystwie, wtuleni w wygodne fotele, w pierwszej kolejności zostaliśmy zaproszeni na uroczy wykład o historii i cechach kina alternatywnego. Przyznam szczerze, że nawet po zdjęciach reżyserów filmów offowych bez wątpienia widać było ich niezależność i brak podporządkowania obowiązującym normom. Dla lepszego wytłumaczenia nam treści poruszanych tematów pokazywano nam krótkie obrazy nakręcone minimalną ilością środków. Moim ulubionym na zawsze stał się „Misio Pysio” w konwencji pana Quentin Tarantino. Niestety Pluszak, który tłumaczył nam zasady przechodzenia przez jezdnię, licząc przy tym na naszą wyobraźnię (biedny, nie miał ulicy w domu), nie zagra już raczej w żadnym innym filmie, chyba że będzie to alternatywny „Świt Żywych Trupów”.

Jeżeli mówimy o wadach owego wykładu, z pewnością należy do nich brak kontaktu między prowadzącą a widzami – nawet jeżeli zadawano pytania publiczności, zamiast poczekać na w miarę inteligentną odpowiedź w miarę inteligentnego ucznia, pani sama na nie odpowiadała. Ponadto, nie był to jedyny raz, gdy czułam, że się we mnie wątpi, ponieważ powtórzenie dziesięć razy tego samego zdania, byśmy lepiej je zapamiętali, nie jest moim skromnym zdaniem dowodem szczególnej wiary w naszą

wiedzę. Drodzy Prowadzący, naprawdę potrafimy zrozumieć, że alternatywny znaczy to samo co offowy już za pierwszym podejściem!

W drugiej części spotkania odtworzony nam został jeden z obrazów należących do tego gatunku, „Głośniej od bomb” w reżyserii Przemysław Wojcieszka. Film opowiadał smutną, bardzo prawdziwą jednak historię młodych, mieszkających na prowincji ludzi. Cała fabuła obracała się wokół tematu śmierci i pogrzebu ojca głównego bohatera, któremu ten obiecał zająć się domem i zadbać, by nie popadł w ruinę. Marcin nie ma żadnej bliższej rodziny – sam musi zająć się sprawami związanymi z ceremonią. Pomaga mu w tym jedynie dziewczyna, ta jednak niedługo ma wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

Mimo tego, że obiecuje wrócić, bohater nie wierzy jej przyrzeczeniom – wie, że Ameryka to inny świat, dużo ciekawszy i piękniejszy od ich szarego, prowincjonalnego życia. Gdy jednak para pozna je dalekie kuzynostwo Marcina, ludzi głęboko zakorzenionych w mieście, pozbawionych uczuć wyższych i kultury, uważających się za lepszych od nich tylko z powodu pochodzenia, zaczynają zasta-

nawiać się, czy rzeczywiście chcą takiej przyszłości dla siebie i swoich dzieci.

Dzięki pierwszemu filmowi twórcy „Zabij ich wszystkich”, który zdobył wiele nagród na festiwalach zarówno w Polsce, jak i za granicą, obraz „Głośniej od Bomb” mógł zostać nakręcony w bardziej profesjonalnych

zamieszkania decydują o powodzeniu życia człowieka. To on sam może decydować o tym, kim ma być, co chce robić i jeżeli będzie walczył o swoje marzenia, niezależnie od tego, czy wychowuje się na wsi, czy też w mieście, zdoła je spełnić.

W kilku słowach, tonem Kuby Wojewódzkiego: „Tak, zdecydowanie jestem na TAK...”

Rafał Maćkowiak Sylwia Juszczak

GŁOŚNIEJ OD BOMB

...ta noc otworzyła mi oczy
i już nigdy nie będzie tak samo

KOMETY

CYFRA + k slamdance
ale kino!

Utwory z filmu znajdziesz na CD, MC "KOMETY"

Traffic Films, Skorpion Art, Cyfra + Agencja Produkcji Filmowej przedstawiają film Przemysław Wojcieszka GŁOŚNIEJ OD BOMB
W rolach głównych: Rafał Maćkowiak, Sylwia Juszczak, Magdalena Schejbal, Krzysztof Czeczot, Andrzej Galla, Grazyna Krukówna
Scenariusz i reżyseria: Przemysław Wojcieszek, Współpraca artystyczna: Katarzyna Majewska, Zdjęcia: Jola Dylewska psc
Muzyka: Bartek Straburzyński, Montaż: Krzysztof Osiecki, Scenografia: Michał Hrisulidis, Opieka artystyczna: Paweł Mossakowski
Kierownik produkcji: Rafał Widajewicz, Produkcja: Skorpion Art, Cyfra +, Agencja Produkcji Filmowej
Producenci: Paweł Rakowski, Monika Lenczewska

doszpedos
wp.pl
radiostacja
KING
stopklatka.pl
Polska Kultura Niezależna
INDEPENDENT
Loif
eurostudent
etu.pl FILM
VIDEOWALL
www.trafficfilms.pl

warunkach, nie odbiera mu to jednak niczego z owej alternatywności. Powiem szczerze, że choć momentami bywał trochę nudny i melancholijny, podobało mi się niemal każde obejrzone ujęcie. Przede wszystkim, daje niesamowicie wiele do myślenia – wskazuje na to, że to nie urodzenie ani miejsce

Zawodowiec

Artykuł autorstwa Adama Magnuszewskiego

Film Georges'a Lautnera pt. „Zawodowiec” opowiada o dosyć niezwykłej historii. Otóż główny bohater jest agentem służb specjalnych francuskiego wywiadu. Zostaje wysłany do Afryki (gdzie rozpoczyna się akcja filmu) z misją zabicia samozwańczego prezydenta jednej z byłych francuskich republik, prezydenta N'jala. Misja kończy się jednak niepowodzeniem. Beaumont zostaje pojmany i w wyniku z góry ustawionego procesu publicznie osądzony i osadzony w jednym z obozów pracy. Dopiero po upływie dwóch lat nadarza się pierwsza okazja do ucieczki. Beaumont, jako świetnie wyszkolony agent, wykorzystuje sposobność i ... wraca do Francji, gdzie nadaje telegram o

swoim powrocie. Wszystko wydaje się wręcz cudowne, ale... Ale w telegramie zawarł dopisek, że powierzone mu wcześniej zadanie (zabicie N'jali) zostanie wkrótce wykonane. Uprzednio nie budziłoby to niepokoju, ale sytuacja polityczna uległa zmianie, N'jala stał się sojusznikiem Francji, którą ma właśnie odwiedzić.

W tym momencie zaczyna się gra między francuskimi służbami a Josselinem Beaumontem, na którego *de facto* zostaje wydany wyrok śmierci. Mimo to agent unika wszystkich zasadzek, które służby, nie bez wysiłku, próbowały na niego zastawić. Zawsze jest o jeden krok dalej. To od niego zależy, jak zostanie rozegrana akcja. Wo-

dzi swych francuskich kolegów za nos. Rząd Francji, widząc, jaki może być koniec całej tej intrygi, zmienia zakwaterowanie prezydenta. Od tej pory mieszkać będzie w najlepiej strzeżonym francuskim zamku. Mimo tego Joss Beaumont, pod przykrywką jednego z ochroniarzy N'jali, dostaje

się do twierdzy. Unieszkodliwia przeciwników i staje twarzą w twarz z prezydentem. By nie zostać posądzonym o zabójstwo, celowo manewruje ruchami prezydenta w taki sposób, że agenci, którzy mieli go chronić, popełniają błąd i zabijają go. Beaumont, wiedząc, że na zewnątrz zamku stoją bataliony żołnierzy, podejmuje ryzyko i zmierza do helikoptera, którym miał odlecieć. Niestety, jeden z agentów „bohatersko” strzela Josselinowi kilkudziesięcioma nabojami w plecy. Tak umiera odważny, dzielny agent.

„Zawodowiec” to film sensacyjny, ale nie we współczesnym rozumieniu kina amerykańskiego. Jak wspomniałem, został wyprodukowany we Francji, przez Francuzów i we francuskim stylu. Nie ma tutaj wyłącznie scen pościgów, walki, strzelanin itp. Film opisuje jakąś historię. Historię zdradzonego człowieka. Pokazuje, jak los może się szybko odmienić. Z ulubieńca i najlepszego agenta bohater staje się największym państwowym wrogiem. I to nie z własnej winy.

Moim zdaniem film – szczególnie na tle tego gatunku – jest bardzo dobry. Dlaczego? Bo trzyma w napięciu, ale nie tylko. Nie wiem dlaczego, ale francuskie filmy mają to „coś”, co powoduje, że ogląda się je – choćby miały najbardziej nieprawdopodobną fabułę – z przyjemnością. Są takie bardziej... ludzkie. Pokazują daną sytuację z zupełnie innej strony



niż produkcje amerykańskie. Kolejne plusy? Kreacje aktor-
skie głównych bohaterów –
naprawdę bardzo odpowiednie.
Sam dobór aktorów do ról –
udany. Jean-Paul Belmondo
w roli Josselina Beaumonta
sprawdził się świetnie. Młody,
dobrze zbudowany mężczy-
zna, z wyrazem twarzy tak
odpowiednim do powierzonych
rol – człowieka po przejściach.
Podobnie kapitan Rosen –
główny przeciwnik Beaumonta,
grany przez Roberta Hosse-
ina, zimny, bezwzględny, nie-
ludzki.

Fenomenalne zdjęcia.

Na uwagę zasługuje także mu-
zyka, której autorem jest Ennio
Morricone (za swą całą twór-

czość otrzymał Honorowego
Oscara). Morricone do filmu
stworzył całą ścieżkę dźwięko-
wą, z której dwa najszlachet-
niejsze utwory to „*Chi Mai*” i „*Le vent,
le cri*”. Te dwa dzieła weszły
do kanonu muzyki filmowej i
ugruntowały pozycję muzyka
na światowym rynku. Jego
muzyka w tym filmie jest nie-
samowicie klimatyczna. Wpro-
wadza taki nastrój, że sami
chcielibyśmy chwycić za broń i
pomóc agentowi. Piękna, deli-
katna, zwiewna. Taki efekt za-
wdzięcza połączeniu m.in.
skrzypiec i fortepianu. Temat
przewodni grany jest przez
skrzypce, natomiast rolę forte-
pianu jest akompaniowanie
smykiem. Pełne wzruszenie.
Wrażliwy widz, który do tego
jeszcze nie jest głuchy, na pew-

no się ze mną zgodzi.

Film został wyprodukowany
w 1981 roku, więc trzeba pa-
miętać, że był jednym z pierw-
szych opowiadających taką
historię (jestem więcej niż
przekonany, że twórcy trylogii
o Jasonie Bourne'nie czerpali
natchnienie z tego właśnie ob-
razu). Teraz także powstają
dobre filmy, ale żeby zauwa-
żyć je wśród szerzącej się ko-
mercji, trzeba być albo bardzo
obeznanym w świecie kina,
albo mieć niezwykłą intuicję.

Sok z żuka

Artykuł autorstwa Angeliki Szpadzińskiej

„Sok z żuka” to film, któ-
ry przyniósł rozgłos jednemu z
najbardziej cenionych reżyserów
współczesnego kina. Tim Burton,
znany ze swojej niezwykle wy-
obraźni, otworzył drzwi do ka-
riery niemalże całej obsadzie ob-
razu. Takie gwiazdy jak Winona
Ryder, Michael Keaton, Alec
Baldwin czy Greena Davis sta-
wiały pierwsze kroki w czarnej
komedii amerykańskiego reżyse-
ra. Niesamowite role, które stwo-
rzył dla nich Burton, przyniosły
im ogromną sławę.

Młode małżeństwo,
Adam i Barbara Maitland (Alec
Baldwin, Greena Davis), spędza
urlop w swoim niedawno kupio-
nym domu w niewielkim, spo-
kojnym miasteczku. Ulegają jed-

nak wypadkowi samochodowe-
mu, w którym giną. Nieświadomi
tego, wracają do swojego do-
mu, gdzie niebawem zdadzą
sobie sprawę, że są duchami.
Na domiar złego, muszą spę-
dzić w swoim mieszkaniu 125
lat. Sytuacja zaczyna się kompli-
kować, kiedy posiadłość kupuje
przedziwna rodzina Deitz z No-
wego Yorku – biznesmen, ojciec
rodziny (Jeffrey Jones), mroczna
nastolatka Lydia (Winona Ry-
der) i jej macocha, niespełniona
artystka (Catherine O'Hara),
która całkowicie zmienia dawny
wygląd domu. Doprowadza to
małżeństwo Maitland do furii.
Postanawiają za wszelką cenę
pozbyć się niechcianych
„lokatorów”. Kiedy zwracają się

o pomoc do zwariowanego
ducha zwanego Beetlejuice
(Michael Keaton), cała sprawa
staje się jeszcze bardziej
zawiła.

Głównym atutem
filmu jest wspaniała gra ak-
torów. Każda postać jest bar-
dzo wyrazista, nie ma nato-
miast podziału na dobro i
zło. Groteskowe zestawienie
świata żywych ze światem
umarłych oddają niesamo-
wite, jak na lata 80., efekty
specjalne oraz elementy hor-
roru. Nie budzą one jednak
strachu, a raczej śmiech i za-
chwyty widza. W końcu nie-
często duchy wzbudzają w
nas sympatię i potrafią roz-
bawić samym swoim wyglą-



ki

od wszelkich schematów, dlatego za każdym razem widz odkrywa w nim coś zaskakującego i niezwykłego.

dem i zachowaniem. Zdecydowanie najbardziej barwną, zapadającą w pamięć postacią jest tytułowy Beetlejuice. Keaton doskonale oddał jego intrygujące, wybuchowe i obsceniczne usposobienie.

Oprócz wspaniałego obrazu, na który składają się zadziwiające wizje świata zmarłych czy nowatorskie, futurystyczne przedstawienie wystroju domu, na uwagę zasługuje także idealnie wtapiająca się w klimat filmu muzyka. Duet Tim Burton, Danny Elfman jak zwykle niezawodny.

O sukcesie tego filmu świadczy fakt, że już w rok po kinowej premierze doczekał się swojego rozwinięcia – kresków-

„Żukosoczek” liczącej ok. 100 odcinków. Stanowiło to wspaniałą informację dla tych, którzy zarzucali reżyserowi, że w „Soku z żuka” było zbyt mało tytułowego bohatera. Animacja skupia się już tylko i wyłącznie na przygodach zwariowanego ducha i jego mrocznej przyjaciółki Lydii.

Jak zwykle w przypadku filmów Burtona, oparcie fabuły na pokazaniu odmienności, kontrastowych postaw, przerysowanej rzeczywistości przyniosło oczekiwany efekt. Film przeszedł do kanonu obrazów kultowych i stał się dziełem, po które można sięgać wielokrotnie bez obawy, że w pewnym momencie stanie się nudny. „Sok z żuka” odbiega

Dzieci Ireny Lendlerowej

Artykuł autorstwa Jowity Jędras

To wspaniała opowieść o wojnie, niezawinionym cierpieniu i niezwykle trudnych decyzjach, przedstawiona z punktu widzenia głównej bohaterki – Ireny Sendler, będącej postacią autentyczną. Kobieta urodziła się w 1910 r. w Warszawie, a więc została skazana na doświadczenie okupacji niemieckiej, cierpienie, widok łez niewinnych ludzi i płacz matek, zmuszonych rozstać się ze swoimi dziećmi. Jednak kobieta nie ukrywała się, ale wszystkim problemom wychodziła naprzeciw. Zgodnie z mottem, które wciąż powtarzała swojej przyjaciółce: „ To jest wojna, a Ty jesteś żołnierzem” dzielnie walczyła, nie zważając na ewentualne – negatywne, śmiertelnie niebezpieczne – konsekwencje swojej działalności. Jako pracownik ośrodka pomocy społecznej miała przepustkę do get-

ta, gdzie nosiła [Gwiazdę Dawida](#) – znak solidarności z Żydami, pozwalający też na ukrycie się pośród tej społeczności, bycie jedną – z. Organizowała przemykanie dzieci żydowskich z getta, umieszczając je w przybranych rodzinach, domach dziecka i u sióstr katolickich w Warszawie, [Turkowicach](#) i [Chotomowie](#). Łącznie uratowała ich około 2,5 tys.

Film jest produkcją amerykańską, ale został zrealizowany dzięki pomocy aktorów polskich, możemy podziwiać m.in. rolę Danuty Stenki, która wspinała grą aktorską doskonale odzwierciedla tragedię ówczesnych czasów i przeżywane dramaty. Widzimy też, że Irena Sendler nie była sama. Wspierało ją mnóstwo Polaków, którzy

zdając sobie sprawę z niewyobrażalnego zagrożenia narodu żydowskiego, nieśli tym ludziom pomoc, nie bacząc na konsekwencje. Wojna sprowadziła życie tych wszystkich ludzi do jednego celu – pomocy drugiemu człowiekowi, za wszelką cenę, bo jak mawiała Irena Sendler: każdy ma to tego pełne prawo i może mu je odebrać tylko Bóg. Ten film to nie tylko propagowaniem bohaterskich postaw, odwagi i solidarności, ale przede wszystkim nauka tolerancji i akceptowania drugiego, bez względu na pochodzenie i wyznanie.

Z czym kojarzy Ci się...

W szkole uczymy się różnych języków – angielskiego, rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, łaciny a nawet – hiszpańskiego. Wybór konkretnego języka zależy od wielu czynników, ale pewnie jednym z najważniejszych jest po prostu – zainteresowanie daną kulturą. W związku z tym postanowiliśmy wprowadzić do gazetki nowy cykl – artykuły pisane w różnych językach. Ale najpierw różnym osobom zadaliśmy pytanie: Z czym kojarzy Ci się...

...kultura angielska...

Sorka Marta Czyżewska: W kulturze angielskiej najbardziej cenię muzykę. Jak wiadomo muzycy angielscy są prekursorami wielu nurtów – wzorują się na nich artyści z całego świata. Wystarczy wspomnieć takie zespoły jak The Beatles a ze współczesnych Arctic Monkeys, La Roux czy Amy Winehouse. Innym elementem kultury angielskiej, wartym uwagi, jest humor – specyficzny, nieuznający tematów tabu, często niezrozumiały. Dlatego wśród filmów, które oglądam wielokrotnie, większość stanowią komedie romantyczne.

Sor Marcin Socik: Co cenię najbardziej w kulturze brytyjskiej? Fakt, iż nadal funkcjonuje tron królowej. Jest ot bardzo charakterystyczny aspekt kultury i świetny przykład na to, że warto kultywować tradycje związane z przeszłością – bez jakiegokolwiek konfliktu społecznego

czy rządkowego. Generalnie, wiele aspektów kultury brytyjskiej łączy ze sobą jeden mianownik, jakim jest kultywowanie tradycji i ściśle powiązanie z historią, związek przeszłości z teraźniejszością.

Daria Mucha: Kultura angielska kojarzy mi się głównie ze stereotypami związanymi bezpośrednio z Brytyjkami – punktualnością (od razu wyobrażam sobie pana w kapeluszu i smokingu zerkającego na zegarek na łańcuszku, znajdującego się w klimatycznej, zadmionej knajpie z jazzem w tle). Kolejne skojarzenia również nie dotyczą współczesnej Anglii – przechadzające się po brukowanych ulicach (albo dorożkach zaprzężonych w konie) ubrane w piękne suknie panie mówiące wyśmienitym brytyjskim akcentem (!). Kultura angielska to dla mnie również Oksford – piękny kampus uczelni o bardzo wysokim poziomie nauczania charakteryzujący się głównie niesamowitymi budynkami (świetna architektura dzięki której człowiek przenosi się w inny świat, klimatyczny, głównie za sprawą ciemnych, ceglanych murów).

Tomek First: No to będzie tego dużo, zaczynając od najważniejszego – z piłką nożną. W końcu tam wymyślili ten sport i do dziś jest on jedną z najpopularniejszych form rozrywki. Na mecze przychodzi ponad 60,000 ludzi (w porównaniu –

w Polsce 20,000 to już dużo). Idąc dalej, muzyka. Brytyjska scena muzyczna trzyma się bardzo dobrze i w każdym gatunku Wyspiarze mają po kilku przedstawicieli. W przeszłości muzyka brytyjska miała się jeszcze lepiej. W końcu Beatlesów zna każdy. Wielka Brytania ma w swojej historii wiele wybitnych indywidualności w niemal każdej dziedzinie. Szekspir, czy Newton – o nich słyszeliśmy w szkołach, a Beckhama znają nie tylko fani sportu. Równie znane na świecie są samochody angielskie – Aston Martin, Bentley, czy kultowy Mini Cooper. Kolejnym skojarzeniem jest specyficzny humor angielski, Jaś Fasola i Monty Python – do dziś bawią ludzi na całym świecie. Kultura brytyjska to dla mnie także wiele symboli, ikon: Union Jack, Elżbieta II, Big Ben, czy czerwone taksówki w Londynie, je kojarzy każdy. Anglię określa również jeden z najbardziej znanych języków na świecie. Język angielski jest bardzo bogaty.

Adam Stasiak: Kultura angielska jest bardzo złożona i interesująca. W starszych dziejach występowały tam takie postaci jak Wilhelm Zdobywca, Isaac Newton czy William Szekspir. W dzisiejszych dniach nadal kojarzy się z majestatem i konserwatyzmem, czego symbolem są wielkie uczelnie pełne wysoko urodzonych studentów. Jednak z biegiem czasu wszystko się zmienia, teraz kojarzy mi się bardziej z Beatlesami i najwy-

bitniejszym twórcą muzyki na świecie, czyli Freddie Mercury. Niewątpliwie zaraz po nich stoi Bond, MI6, Jaś Fasola i Monty Python. Anglicy kojarzą mi się również z ładnymi, ale lekko otyłymi kobietami. Jest to prawdopodobnie konsekwencją narodowej potrawy angielskiej – Fish and Chips, czyli ryby z frytkami. Kolejną osobą, która rozślawiła Anglię na cały świat, jest Hugh Grant. Filmy, w których grał, takie jak „Nothing Hill” czy „Był sobie chłopiec”, podobają się widzom na całym świecie. Oczywiście jedynym środkiem komunikacji są charakterystyczne takśówki i dwupiętrowe czerwone autobusy, chyba że kogoś stać na Astona Martina, Rolls-Royca, Jaguara czy Bentleya. Ostatnią rzeczą, z którą mi się kojarzy Anglia, są wielkie produkcje filmowe, takie jak „Władca Pierścieni”, czyli zekranizowane dzieło Tolkiena, czy „Harry Potter” J.K. Rowling oraz filmy Guya Ritchiego.

...kultura niemiecka...

Sorka Ewa Głowacka: W kulturze niemieckiej, oprócz samej kultury jako takiej, dorobku Niemców, podoba mi się, i to może być zaskakujące, serdeczność, nie tylko Niemiec, ale całego obszaru niemieckojęzycznego. I to wcale nie tylko „Ordnung muss sein”, ale nawet spontaniczność. Niemcy to dla mnie przede wszystkim historia, niekoniecznie ta, która kojarzy się z II wojną światową, ale czas po niej, rozbitcie narodu, jednoczenie. Zabytki, o których kiedyś czytałam, a które potem mogłam obejrzeć na własne oczy,

robiły i nadal robią na mnie wielkie wrażenie. Dlatego bardzo lubię tematy lekcyjne, podczas których mogę opowiadać o Niemczech lub Austrii. Widząc zainteresowanie słuchaczy (a czasami takie się zdarza!) mogę mówić, mówić... J

Tomek First: Z Sorką Głowacką przede wszystkim;) Jej fascynacja kulturą niemiecką jest godna podziwu i chyba powoli przechodzi to na nas, maturzystów z jej grupy. Zdołała już przekonać jedną z dziewczyn do czytania „Cierpień Młodego Wertera” w oryginale i ma zamiar wysłać nam piosenki niemieckie w celu „ćwiczeń słuchowych”. Z czym jeszcze? Może z samochodami, piłką nożną, Oktoberfestem i literaturą, Goethe’em i inni twórcami z czasów literatury „burzy i naporu”, ale to już wpływ innej nauczycielki;) A, kibicowałem Niemcom w finale ostatniego EURO, bo Hiszpanów nie lubię, szkoda, że przegrali. Mieliśmy kiedyś samochód niemiecki – Opla Vectrę (wolałbym Porsche), długo wytrzymał, ale był służbowy, więc z czasem został zmieniony. Wracając do piłki, nie lubię Balacka, bo gra w Chelsea. No i znam kilka niemieckich zespołów muzycznych, ale też nie przepadam za nimi.

Damian Brudzyński: Kojarzy mi się przede wszystkim z Oktoberfestem (nie wiem, czemu mam takie akurat skojarzenie... Dobra, idę na zakupy...). Z takimi uśmiechniętymi, klasycznymi Niemcami... A czy to nie są

Austriacy?! Hm... Nie, to jednak Niemcy. Również z solidnością, perfekcyjnością wykonania pracy. I z cierpieniem, bo niestety nie jestem z tego języka orłem – potrafi mnie pograć nawet wtedy, gdy mam dobry nastrój. Przeglądałam sobie książki, słowniki i uświadamiam, że nic nie rozumiem. Więc – cierpienie. Ale to moja wina, bo kiedyś sobie ten język bagatelizowałem i teraz nie mogę nadrobić zaległości. Lubię za to niemiecki akcent, np. motyl. Samo to słowo – niesamowicie ciężko brzmi.

Kamil Fijalski: Moje kontakty z Niemcami póki co ograniczają się tylko do spotkania z kilkoma zaprzyjaźnionymi skautami niemieckimi na tegorocznym obozie harcerskim. Skauci w wieku ok. 25 – 30 lat z RDP (Ring Deutscher Pfadfinderverbände - niemiecka organizacja skautingowa) chętnie dzielili się z nami swoimi doświadczeniami, przeżyciami jak i tradycyjną niemiecką kiełbasą, której mieli spory zapas na 3 tygodnie obozu:)

...kultura francuska...

Sorka Barbara Krupińska: Istnieje takie powiedzenie, że każdy kulturalny człowiek ma dwie ojczyzny: swoją własną i Francję. Tkwi w tym stwierdzeniu może nieco przesady zabarwionej

odrobiną kosmopolityzmu, jednak przez wiele wieków Francja odgrywała centralną rolę wśród narodów starego kontynentu, wzbudzając ich zachwyt i wielką, czasami nawet przesadną fascynację... Trzeba jednak przyznać, iż osiągnięcia intelektualne i artystyczne tego narodu miały także ogromny i raczej niekwestionowany wpływ na kształtowanie się świata. Przez wieki jako królestwo, później imperium kolonialne i wreszcie republika, Francja odgrywa także dzisiaj wiodącą rolę na forum Unii Europejskiej.

O kulturze i cywilizacji francuskiej można naprawdę długo rozprawiać, zarówno o jej przeszłości, jak i dniu dzisiejszym. Francja to taki kraj, w którym kulturę i idee, a także ich twórców i propagatorów, otaczano zawsze szczególnym szacunkiem. I trzeba to przyznać – z pewną zazdrością – jego przedstawiciele zawsze potrafili ją ukazywać w najbardziej korzystnym świetle, pamiętając o narodowym prestiżu. Tak było – i jest nadal, gdyż w przypadku tego kraju można mówić o – zapoczątkowanej już w czasach Ludwika XIV – polityce popierania kultury jako ośrodka służącego do osiągnięcia przez Francję potęgi i prestiżu.

Nie sposób przemilczeć tutaj roli, jaką odegrał Paryż w tej swoistej ekspansji kulturowej: wszyscy twórcy i ambitni artyści francuscy – potem także i cudzoziemscy – pragnęli sprawdzić swe siły w pełnej blasku stolicy Francji i tam „wyrobić” sobie nazwisko. I choć dzisiaj coraz więcej Fran-

cuzów obdarzonych artystycznymi talentami decyduje się na karierę poza stolicą (tzw. prowincja francuska bardzo pozytywnie odmieniła się od lat 80. ubiegłego stulecia), Paryż nadal pozostaje ośrodkiem, w którym powstają najwyższej rangi prace twórcze.

Francuzi nie różnią się bardzo od nas, mają swoje wady i zalety jak każdy naród. Czasami wydają się trudnymi ludźmi: bywają impulsywni i samolubni, jednak chyba wszyscy (osobiście nie znam ani jednego wyjątku) dumni są z faktu, że ich ojczyzną jest Francja, że oni sami są Francuzami. Mają swój francuski styl życia, doskonale wiedzą, jak z niego korzystać i cieszyć się życiem (słynna francuska kuchnia, francuskie wina, sery, etc.) i nadal, jak ich przodkowie, łatwo zapalają się do nowych idei.

Nie sposób określić w krótkiej wypowiedzi roli i znaczenia kultury francuskiej w moim życiu. Od czasu, gdy jako licealistka poznawałam pierwsze francuskie słowa – tak jak dzisiaj moi uczniowie – upłynęło wiele, wiele lat. Przez te wszystkie lata, tj. dwie trzecie mojego życia (sic!) poznawałam owe przepastne dziedziny kultury Francji i jej przedstawiciele: literaturę piękną, teatr, muzykę, malarstwo. I nadal to czynię: wciąż odkrywam dla siebie tematy, które uwielbiam i które mnie ubogacają.

Starając się zawsze być krytycznym obserwatorem tego, co francuskie, pozostaję zdeklarowanym i jednak niepoprawnym frankofilem... Oui, le français c'est mon amour!

Joanna Felczak: Gdyby spytać Polaka o pierwsze skojarzenia związane z Francją, można by się spodziewać Wieży Eiffla, żab, wina, czy sera. Warto odbyć wędrowkę po Francji, jej kulturze i tradycjach, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Po co nam stereotypy? Oto kilka faktów mniej znanych, ale ciekawych i istotnych.

Idąc w poniedziałek jedną z francuskich ulic, Polakowi może się wydawać, że jest niedziela. Sklepy są pozamykane w poniedziałki, jest to we Francji całkowicie normalne. Pamiętam moje osobiste doświadczenie. Gdy grupa Francuzów przyjechała do Płońska, uczniowie francuskojęzyczni towarzyszyli im w spacerze po mieście. Ja również miałam szczęście, mogąc spędzić czas z czworgiem Francuzów. Były to dwa małżeństwa. Opowiadali mi, co im się tu podobało, co ich zdziwiło. Najbardziej zaskoczeni byli widząc, że sklepy są otwarte w poniedziałek...

Francuzi bardzo cenią sobie grzeczność. Oczywiście sami również świecą przykładem. Szczególne zasady zostały opisane w podręcznikach tak zwanej sztuki *savoir-vivre*, która określa normy postępowania i radzi, jak zachować się w pewnych sytuacjach. Między innymi jak przygotować świąteczną kolację wigilijną, jak zachować się przy stole, na rozmowie kwalifikacyjnej, czy nawet w tramwaju. Relacje z ludźmi są bardzo ważne. Traktujmy ludzi tak, jak sami byśmy chcieli być traktowani.

Francja słynie z pięknych za-

bytków, nie tylko z pięknej wieży, ale przecież możemy tam odnaleźć Wersal z pięknymi ogrodami, Luwr, gdzie odkrywamy sztukę i podziwiamy najlepszych malarzy wszech czasów. Niezwykle piękna jest też piramida Luwru. Ale bardzo ciekawym obiektem jest także Centrum Pompidou. Jest to muzeum sztuki współczesnej zbudowane w bardzo oryginalny sposób. Znajdują się tam nie tylko obiekty służące do zwiedzania, ale również kina, teatry, sale koncertowe. Mówi się, że budynek wygląda jak wielka zabawka utworzona z różnych elementów. Przezroczyście ściany pozwalają na oglądanie niesamowitych widoków.

Francja ma wiele ukrytych zalet, które tylko czekają na odkrycie. Warto przejrzeć kilka stron internetowych, map, pism, aby dowiedzieć się czegoś o kraju, którego języka się uczymy. Jest to odkrywcze zadanie. Daje wiele satysfakcji. Francja jest jednym z ciekawszych krajów świata. Ma bogato rozwiniętą kulturę

i niesamowitą historię. Najważniejsze zasady nie zmieniły się tam od czasów rewolucji: wolność, równość i braterstwo.

Michał Markiewicz: Z czym przede wszystkim kojarzy mi się kultura francuska? Z Luisem de Funes, z filmami francuskimi, komediami (ale nie podobają mi się – oprócz de Funes), z piosenkami Celine Dion, i niestety z Garrou. Na pewno ze znanymi postaciami. Z tym, że mam francuski cztery razy w tygodniu, z sorką Krupińską, z Luwrem, modą, elegancją, croissantami. I to wszystko, nie mam jakichś bujnych wyobrażeń co do tej kultu-

ry.

...kultura rosyjska...

Sorka Anna Biernacka: To, co urzeka w kulturze rosyjskiej, to jej wielowarstwowość. Odkrywa się ją za każdym razem na nowo. Ta cecha wynika zarówno z uwarunkowań historycznych, jak i geograficznych. To z jednej strony kultura orientalna, a z drugiej tak nam bliska, słowiańska. To tradycja picia herbaty w rodzinnym kręgu, wizyty rosyjskiej bani, to rosyjska słowiańska gościnność z suto zastawionym stołem, to niezmienna od wieków rosyjska cerkiew... Jednym słowem: „rosyjska dusza”.

Asia Kochańska: Kultura rosyjska kojarzy mi się bardzo ciepło – szczególnie ze względu na NATO, w jaki sposób jest pielęgnowana i przekazywana kolejnym pokoleniom. Rosyjskie święta czy symbole są tak charakterystyczne, iż nie sposób nie poznać ich na pierwszy rzut oka. Matrioski, maselnica – zapewne każdy o nich słyszał. Rosjan szanuję także bardzo za to, że tak wiernie – bez sprzeciwu i wprowadzania uproszczeń – potrafią kultywować owe święta.

Dorota Smolińska: Przede wszystkim z bogatym folklorem, matrioszkami, Kremlem, kolorowymi kopułami cerkwi. Niestety, obecnie Rosja wielu z nas kojarzy się także z agresyw-

ną polityką rosyjskiego rządu względem Polski, z dużym rozdziałem społeczeństwa na żyjących w skrajnym ubóstwie i tych opływających w luksusach. Współcześnie w naszym kraju funkcjonuje stereotyp Rosjan jako alkoholików, tak krzywdzący jak stereotyp Polaka – złodzieja.

Łukasz Gronau: Z matrioszkami, kawiozem i szpampnem, a także ze Stalinem i Putinem.

FCE

Artykuł autorstwa Tomka Firsta

Nowadays in Poland it's very popular to take English certificates, especially among teenagers. No doubt, the most popular is the FCE (First Certificate in English) if you are going to take it soon or still thinking about taking it you should find this text helpful and interesting. I passed the FCE this year and got A (for those who don't know, it is the highest grade to get) and here are some fact and hints which might be useful.

Firstly, the name of this certificate sounds quite confusing. It's not the first certificate to take. There are two other certificates (PET and KET) but they aren't as popular as the FCE because they are too easy and many people don't want to waste their time on taking them. However, there are another certificates, which are higher than the FCE. These are CAE and CPE and they require bigger knowledge of English than the FCE. So as you can see, FCE is in the middle.

Taking such a certificate isn't cheap, people who want to take it must pay around 450 zloty. However, the price depends on which certificate it is. The more advanced certificate is, the more you will have to pay for it. I mentioned the price of the FCE.

Many people say that

you can pass the FCE without preparing for it. It may be true, if you're really good at English and don't care about the grade. There are 5 grades to be given. A is the best and E is the worst. To pass you'll have to get at least C (it's 60% of the final score). But if you want to get A, you'll have spend some time on preparing for the exam on your own. The FCE is divided into 5 parts and you'll need 2 days to take them. First 4 are on the same day but the fifth is usually the week before or the week after those four. What are these parts? There are: Reading, Writing, Use of English and Speaking. The structure of each part is probably well known for most of you because many books which are used on English lessons at our school are meant to prepare for the FCE. Reading contains 3 or 4 texts and there are a number of tasks for each one. It can be simply the ABCD answers or matching the paragraphs with the titles. In Writing part you'll have to write two things. The first one is a short letter and the other one can be chosen of a couple of tasks. It might be, for example, a letter or a story. In my opinion Use of English is the most interesting part. Probably it will be the part on which you will concentrate the most, when you will be preparing for the FCE. There are 5 tasks. This part checks your knowledge of grammar and vocabulary. Listening can be quite tricky because sometimes the possible

answers may be quite confusing because sometimes 2 or even 3 answers sound good but always only one is correct. Speaking is the shortest part but it is, in my opinion, the most stressful. It takes only 15 minutes and there are only 4 people in the room. Two candidates who are taking the exam and two examiners. One of them gives tasks and instructions, while the second one is listening to us very carefully in order to find errors and mistakes.

Of course, there will be some stress before the exam but you can cope with it. Don't take it too seriously, it's easy to get those 60% to pass. You won't take the FCE if you don't feel good at English. You must be 100% sure of your skills. Confidence and patience are essential. Between the parts of the exam there are short breaks. It would be good if you take the exam with a friend of yours. During the break you can share your opinion and feelings about each part and you won't be as stressed as if were there alone and just walk or sit in silence. Don't even think about cheating, it's not worth it. I suppose that people from Płońsk will take the exam in Warsaw (it's also available in Płock if we're talking about places near Płońsk). I took the exam there and it was in a big hotel. We were in a kind of a conference hall and I have no idea how many people there were. I

guess more than 2000. Even though it was a big room and there were many people taking it. There were also a lot of people checking if we weren't cheating. Another important thing is to leave your books at home. I wouldn't recommend revising during the break. There's no use of it because you have been preparing so long that between the parts you wouldn't be able to

learn something new. As I mentioned, Speaking part is the most stressful but don't let other people see that you're stressed. Be yourself during the conversation and I will repeat what I heard before I entered the room, where I took Speaking part, there are extra points for smiling.

I hope you will find this texts helpful and some of you will consider taking the FCE soon and of course I wish you well.

Rewers

Artykuł autorstwa Ani Gorzkiewicz

I'd like to recommend you a great film, 'Rewers'. It is directed by Borys Lankosz. The screenplay is written by Andrzej Bart.

The film is set in Warsaw in the 50s. It is an incredible story about a woman living in a totalitarian country. The main character Sabina is a quiet and

shy person who dreams about great love. When it seems that her dreams come true, something changing her and her family's life happens.

I think that the story is interesting and surprising. The acting is a great advantage of this production. Creations of Agata Buzek, Krystyna Janda, Anna Polony and Marcin Dorociński are amazing and worth

praising. In spite of the main plot which is serious, there are some comic moments, either.

It is hard to find any disadvantages of this film. This film has got everything - a wonderful acting, great story, unparalleled way of directing and retrospection. You really must see it!

Interstate 60

Artykuł autorstwa Magdy Tomaki

Well, I'm not a film connoisseur. Sometimes I reach for a good film recommended by my friends. I like lonely night screenings with chips, but I rarely have time for them. That's why I'm not an expert if it comes to the movies. 'Interstate 60' - I have heard this title since I remember. It's one of my mother's favourite films. I have known many quotations, because she had often repeated

them. First I didn't want to watch it. Just because.. Generation gap.... No adventures, no love, no laugh - I thought one evening I was alone at home. So I press start button on the DVD player. I got interested from the first minutes. Everything was so strange. Neal is just graduating from the school and struggling with his own need for self-expression. He is an artist. He

easily expresses himself in painting. On the other hand, he can't present his dreams and needs to his loving, but dominant father. That makes their relations difficult. They had different concepts about Neal's future professional life. After a graduation party full of discussion about Neal's future and receiving a bonus which was exactly the way his father

would have wanted it, Neal suffers an accidental strike on his head and loses consciousness. He awakens in a different world. He finds his perceptions different, he sees things invisible to anyone else. One of the sights is a billboard with an attractive girl, the type of girl, Neal dreamed of. He also meets very strange man called J.W.Grand, who introduces Neal into new reality and offers him a job of delivering a mysterious package. The young man accepts the job and gets on

a journey on a mystical highway called Interstate 60 in hope of meeting the girl of his dreams. More? I can tell you only that he has plenty of unbelievable adventures, he delivers the package to a faraway city, meets his dream girl... But there is a lot more! And it's the most interesting! You have to see it!

This is a story about misunderstandings, struggling for dreams to come true, thinking in stereotypical ways, fulfilling a destination, looking for

love... The film director Bob Gale has chosen the actors perfectly, I think. They are all professionals. Gary Oldman as J.W. - well, he is great.

It seems that the whole story is the secret that I have to discover myself. Love, adventures, laugh, scare- I have found all of them in this film, although I hadn't expected to.

Amazonia

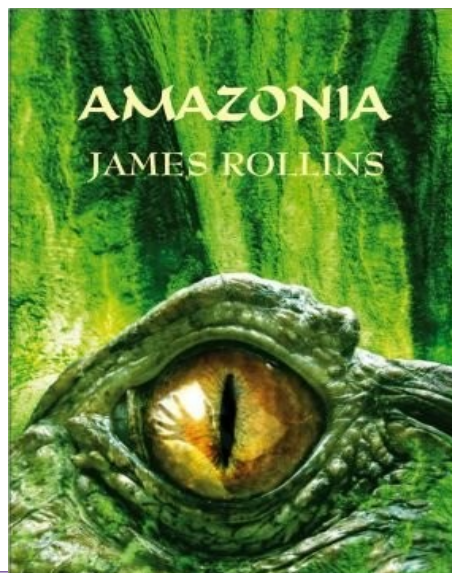
Artykuł autorstwa Pawła Bałdygi

The scientific expedition of Carl Rand disappears without any trace in Amazonian Jungle. A couple of years later an exhausted and dying man, one of the lost, goes out of the forest in a little missionary village. It turns out that he had his arm amputated and now he has both of them again! What happened? Is it an effect of an unknown plant?

The second expedition, with Carl's son Nathan, sets off and it is on the trail of the first one. It quickly turns out that these events may be caused by the mysterious tribe called Ban-al - Bloody Jaguars. Its members can disappear and even jungle life depends on their will.

The expedition will meet a lot of dangers and they will find

something different of what they expected. The book keeps in suspense and causes that you can't wait to read the next chapter.



Mój Wermacht

Artykuł autorstwa Adama Stasiak

"Mój Wehrmacht" a book written by Janusz Rudnicki contains two parts. The first part is about women of the Third Reich and Brechts. There are plenty of fascinating stories which are filled with great humour as the whole book is. The

author shows us the women's lives and how they were manipulated by their men. The second part is about the world around us. The writer balances perfectly reality and fantasy. With great humour, he deals with daily routines and normal problems. He turns everything

in a joke, with no exceptions - even himself. The whole book is filled with important thoughts we should consider while reading it, but most of them are showed in a humorous, easy to adopt way.

Happy Feet

Artykuł autorstwa Anny Pałac

Ich glaube, dass ich nicht über den Spielfilm schreiben soll. Ich bin vielleicht zu alt und manche Sachen kann ich anders als Kinder verstehen. Leider, begann ich schon, so ich muss beenden.

„Happy Feet“ erzählt über den kleinen Pinguin, der Mambo heißt. Er hat keine Freunde, denn er kann nicht singen und andere Pinguins akzeptieren ihn nicht. Nur seine Mutter kümmert sich um seine Zukunft. Sein Vater fürchtet sich davor, was andere Pinguins sagen und er hat keinen guten Kontakt mit dem Sohn. Dieser Film zeigt die schwere Beziehung zwischen Eltern und Kindern. Die Eltern wissen nicht immer, was am besten für ihre Kinder ist. Sie behandeln sie nicht immer gut. Mambo war einsam. Sein Vater half ihm nicht, wenn der Führer ihn aus dem Haus weggehen ließ. Er musste weggehen, denn er hatte ein ungewöhnliches Talent -

er konnte tanzen und die älteren Pinguins fanden das schlecht und unmoralisch. Außerdem behaupteten sie, dass er verantwortlich für den Mangel an Fischen war. Pinguins hatten Hunger, ihnen fehlte an Essen. Das sagt uns, wie schwer es ist, originell zu sein, wie großes Problem die Knappheit von Toleranz ist. In der heutigen Zeit stellt man den Individualisten Hindernisse auf den Weg. Die Leute sind streng und ungerecht für sie. Die Gesellschaft tötet jede Individualität.

Mambo entschied sich, die Ursache zu suchen, warum es keine Fische im Wasser gibt. Er schwamm viele, viele Kilometer und zum Schluss wurde er in den ZOO eingewiesen. Dank seinem Tanzen begannen die Leute sich für das Problem von Müll im Ozean zu interessieren. Dieser Film erklärt Kindern, dass man sich um die Umwelt kümmern soll.

„Happy Feet“ entwickelt bei jungen Menschen Verantwortung für Leben auf unserem Planet.

Natürlich, diese Geschichte hat das gute Ende - Mambo kam zu seiner Familie zurück und rettete Pinguins vor dem Hungertod. Ich finde den Film ausgezeichnet. Der zeigt viele wichtige Dinge in unserem Leben. Ich mag wirklich Filme, die zum Nachdenken anregen.

Ich sprach noch nicht über den Führer von Pinguins. Diese Gestalt zeigt, dass die Leute oft nicht denken, dass die Leute keine eigene Meinung haben. Es ist bequemer, leichter andere Leute zu hören. Wir können nicht nachdenken und wir bevorzugen schwere Probleme zu vergessen. Wir können uns nicht entgegenstellen und um unsere Meinung auch kämpfen.

Zu guter Letzt möchte ich sagen, was mir nicht in diesem

Film gefällt. Ich glaube, dass das Motiv von Liebe hässlich war. Wenn Gloria die Liebeslieder im POP sang, schmerzen

mir meine Ohren. Zum Glück, dieser Film hat nur einen Nachteil, deshalb empfehle ich ihn Kindern und Erwachsenen!

Ona i on

Artykuł autorstwa Kasi Folk

Я бы хотела рассказать вам историю необыкновенной любви.

В одной школе был мальчик, его зовут Матеуш. У него было очень много друзей, все его любили, но у него каждую неделю была другая девочка. Матеуш никогда серьёзно не влюбился. У него в классе была одна девушка - Аня. Она была тихая, симпатичная и добрая, но у неё не было много друзей, потому что все считали её странной девушкой. Матеуш тоже так считал и почти вообще её не замечал.

Однажды ему надо было сыграть в школьном спектакле вместе с Аней. Он узнал, что она чудесная и влюбился в неё как сумасшедший, не смотрел на мнение своих друзей, потому что они не любили Аню.

Подруги Матеуша ревновали ей, делали всё, чтобы они не были вместе.

Оказалось, что Аня болела лейкемией. Парень не хотел поверить в это, стал грустным. Любил её так крепко, что решил выполнить её мечту: венчаться в церкви, он

признался в любви и сделал Ани предложение. Она сказала "да" и летом поженились. Они просто замирали от счастья, не видели мира вокруг, только друг друга.

Жили, как бы не было будущего. После нескольких месяцев она умерла, но на всегда осталась у него в сердце: "Любовь как ветер, я не вижу её но я чувствую, что она есть".

Каждый из нас хочет любить и быть любимым.

La première dame de France, „L'amour... et plus rien"

Artykuły autorstwa Zuzi Paszkowskiej

La première dame de France

Que sait - on de Carla Bruni ? Elle est connue comme la première dame de France, la femme de Nicolas Sarkozy, mais qui est - elle en réalité?

Carla Gilberta Bruni Tedeschi est née le 23 décembre 1967 à Turin (Italie). Son père était compositeur et industriel et sa mère pianiste. Quand la petite

Carla avait 5 ans, sa famille a déménagé en France. Elle a fini son collège en Suisse, puis elle est rentrée en France pour étudier l'architecture à Paris. À l'âge de 19 ans, elle a arrêté ses études et est devenue mannequin pour l'agence parisienne City Models. Très vite, elle a connu du succès mondial, en faisant partie de dix top model qui gagnaient 7,5 millions dollars par an. À côté de [Claudia Schiffer](#), [Naomi](#)

[Campbell](#), [Cindy Crawford](#), [Helena Christensen](#), [Christy Turlington](#) et [Linda Evangelista](#), elle défilait chez les plus grands couturiers mondiaux, en posant pour des magazines comme la star et l'icône de la mode. Pendant sa carrière, elle était liée avec Eric Clapton, Donald Trump ou Kevin Costner, mais sa plus belle période de la vie commençait seulement...

En 1997, après son « aventure » avec la mode, Carla a décidé de se consacrer pour la musique. Certains cas ont fini par une défaite totale, elle avait pourtant de l'idée et a prouvé qu'elle sait ce qu'elle veut. En ce temps là, elle travaillait beaucoup et a écrit plein de chansons. En 2002, Carla a sorti son premier album *Quelqu'un m'a dit* et en 2004 elle a remporté la **Victoire de la musique** de l'Artiste féminine de l'année. C'était un grand succès qui le a encouragée à continuer sa passion musicale. En 2007, elle a sorti son deuxième album *No Promises* et dans la vie privée, elle a connu Nicolas Sarkozy - le président de la France. Ils se fiancent rapidement et se marient le 2 février 2008. Cette année aussi, elle a sorti *Comme si de rien n'était*. Son dernier album s'est vendu à 80 660 exemplaires, comptant sept semaines après son édition. Comme la chanteuse, Carla a obtenu une grande considération ce que confirment ces nombres.

Moi aussi, je suis fan de Carla Bruni. Je l'admire, j'adore ses photographies belles et exceptionnelles, ses nus particulièrement. J'aime bien sa musique. Ses textes sont lyriques, simples et sages. Carla chante la vie, l'amour, les hommes, les sentiments - tout ce qui concerne l'homme. On éprouve qu'elle est vraie, sincère et qu'elle ne doit rien simuler. Elle a une voix agréable et chaleureuse. Pendant qu'elle chante et joue de la guitare (qui est d'ailleurs le seul instrument dont Carla s'accompagne en chantant), elle crée une ambiance sensuelle. Elle permet de se calmer, se détendre, respirer...

Je pense que Carla Bruni - Sarkozy a de la classe et du charme, c'est une femme qui sait comment il faut se comporter à chaque situation. Elle est magnifique et c'est une grande artiste et elle sait joindre ses obligations de la première dame de France, à celles de chanteuse, mère et femme du président. C'est difficile, mais Carla y arrive en souriant.

„L'amour... et plus rien”

« L'amour... et plus rien », mais pas absolument tout à fait... Le samedi, 21 novembre, les étudiants de français ont eu l'occasion de sortir avec Madame B. Krupińska au théâtre de Płock. C'était un grand événement pour tous et on a attendu le spectacle avec impatience. Nous avons pensé que ce spectacle serait une pièce de théâtre avec des acteurs, mais c'était tout différent. C'était une représentation musicale. Jan Jakub Należyty était son chanteur principal qui a donné le concert avec trois autres chanteuses - Hanna Chojnacka, Magdalena Bogdan et Magdalena Tomaszewska. Le sujet principal était l'amour sur ses tons différents. Nous avons connu les plus belles chansons françaises : celles de Jacques Brel, Georges Brassens, Charles Aznavour, Gilbert Bécaud, aussi que celles de Bułat Okudźawa et Jan Jakub Należyty. La qualité primordiale de ce spectacle est l'accompagnement musical du piano, de la contrebasse et de l'accordéon qui est l'instrument

indispensable pour la chanson française. Qu'est-ce qui distingue cette musique des autres? Tout le temps, la musique française c'est une belle mélodie et l'histoire qui ne se fait pas oublier. Ce n'est pas trop fréquent au monde contemporain. Nous sommes rentrés à la maison avec émotion, nostalgie et réflexions.

Złota Formuła

Artykuł autorstwa Krzysztofa Konstantinow

Pomiędzy 3 a 8 listopada 2009 roku, w stolicy Kataru – Ad-Dauha, odbyły się Klubowe Mistrzostwa Świata 2009. Występowała w nich polska drużyna – PGE Skra Bełchatów. Bełchatowianom udało się dojść nawet do finału, jednak trafili tam na mistrzów Włoch – Trentino Volley. Skra, mimo wielkich chęci i zaangażowania, nie poradziła sobie z aż tak wymagającym przeciwnikiem i przegrała wysoko bo 3:0. Jednak artykuł ten nie ma być podsumowaniem tych mistrzostw, tylko przybliżeniem szerszemu gronu czytelników jakże wspólniejszej „Złotej Formuły”

„Złota Formuła” jest to zbiór zasad, które jakoby miały wprowadzić do współczesnej siatkówki wiele zmian. No i to jest akurat prawda. Zasady te obowiązują w lidze katarskiej od kilku lat i drużyny tam grające zdążyły się w nich odnaleźć. Zresztą wprowadzenie „Złotej Formuły” było jednym z warunków rozegrania mistrzostw świata właśnie w Katarze. Miało to na celu wyrównanie poziomu czołowych drużyn świata ze słabymi zespołami. Pośrednio się to udało, jednak te słabe drużyny i tak nie uczestniczyły w finałowej rywalizacji.

Ale może opiszę nowe, „innovacyjne” zasady. Otóż: pierwszy atak po zagrywce przeciwnika musi być wykonany zza linii trzeciego metra. Ogranicza to możliwość rozegrania piłki przy pierwszym

ataku oraz zwiększa jego trudność, ponieważ łatwiej jest się drużynie przeciwnej ustawić do bloku. Zmniejsza to efektywność siatkówki, jej dynamizm i ogólnie jej atrakcyjność. Twórcy „Złotej Formuły” mówią, że zmiany takie mają na celu wydłużenie pojedynczych akcji i automatycznie całego meczu, co jest absurdem. Mecze siatkarskie trwają koło dwóch godzin, a siatkarze po takich bataliach są strasznie zmęczeni. Oznaczałoby to zmniejszenie ilości występujących w danych rozgrywkach, a takie kroki potępia kibice i same drużyny, które ciężko pracowały na granie w tej najlepszej lidze rozgrywkowej, a teraz zostaną z niej bezprawnie wyrzucone.

Jest to tak naprawdę jedyna poważna zmiana w grze, jednak niesie ona za sobą inne absurdy. Od kilku lat za przyjęcie „dobre” uznawane było idealne dogranie do siatki, dogranie, z którego rozgrywający nie będzie miał problemu z rozegranie piłki. Teraz, gdy piłka zostanie nawet jakkolwiek przyjęta, ale jednak przyjęta, to jest to przyjęcie dobre – czego konsekwencją jest fakt, że statystyki przyjęcia wynoszą po ponad dziewięćdziesiąt procent. Jeszcze rok temu nikt by o czymś takim nie pomyślał.

Sami siatkarze, działacze, a także kibice już teraz wypowiadają się nieprzychylnie o „Złotej Formule”. Poniżej kilka wypowiedzi:

- „Obawiam się, że wielcy mistrzowie będą grali na poziomie podwórkowym” – Andrea Zorzi, siatkarski guru

- „Nie, nie można powiedzieć, żeby zmiany, które FIVB chciało wprowadzić w życie, przypadły nam do gustu. Moim zdaniem zbyt często zmienia się przepisy, a „złota formuła”, to bardzo radykalna zmiana, która nie przyniesie niestety poprawy gry. Gdyby weszła ona w życie, siatkówka stałaby się bardzo monotonna i nudnym sportem, bo gra byłaby bardzo przewidywalna. Od razu wiadomo byłoby, gdzie zostanie rozegrana pierwsza piłka. Nie będzie to korzystne dla samych zawodników. Jeśli zaś chodzi o kibiców, sami powinni to ocenić, przez pryzmat tego, jak oglądało im się turniej w Katarze” – Piotr Gacek, Libero Skry Bełchatów

- Ćwiczmy po to, żeby idealnie przyjąć piłkę i rozproszyc ten blok. W nowej formule nie ma sensu wszystko to, co do tej pory ćwiczyliśmy.

- „Nowa formuła zabija technikę i mam nadzieję, że nie zostanie wprowadzona” – Andrzej Niemczyk, były trener reprezentacji Polski kobiet siatkówce.

Jak widać osoby, które znajdują się w centrum spraw związanych z nowymi zasadami, nie są zadowolone z wprowadzenia „Złotej Formuły”. Jednak istnieją także zwolennicy nowej formuły, którzy od-

grażają się, że nowe zasady zostaną na stałe wprowadzone w roku 2012 (czyż to będzie legendarny już „koniec świata“?). Poplecznicy „Złotej Formuły” mówią, że takie same reakcje były, kiedy do gry wprowadzano Libero oraz możliwość zdobywania punktów przy zagrywce drużyny przeciwnej. Jednak tamte zmiany skracały czas gry oraz nieco odciążały zawodników grających w

ofensywie od zajmowania się przyjęciem (jakby ktoś nie wiedział, libero jest tym facetem, który biega w innej koszulce niż wszyscy i odbiera 90% piłek), a „Złota Formuła” jest strasznie radykalna i gracze, którzy czują się dobrze we współczesnej siatkówce, musieliby diametralnie zmienić swój styl gry, co by im na dobre nie wyszło. Ja zwoln-

nikiem „Złotej Formuły” nie jestem i mam nadzieję, że nie wejdzie ona na stałe do siatkówki.

Z pamiętnika nastolatki

Opowiadanie autorstwa Joanny Felczak

Odcinek 10.: Niespodzianka

Rodzice wyszli gdzieś na spacer, a ja postanowiłam się położyć, tak jakbym robiła co innego. No właściwie to już się trochę lepiej czuję. Wstałam rano z łóżka, poszłam wreszcie do kuchni i zjadłam śniadanie przy stole, co sprawiało mi pewną oczywistą trudność przy wadze mojej głowy – gdzieś z 90 kilogramów... Tak się mniej więcej czuję, chociaż wczoraj moja głowa ważyła 120 kilo. To już znaczna poprawa.

Siedziałam w fotelu i starałam się coś tam czytać, gdy nagle usłyszałam dzwonek do drzwi. Powlokłam się z mojego pokoju do pokoju dużego przez przedpokój i nawet nie spojrzałam przez judasza, otworzyłam. Stał w nich Damianek.

- Cześć – powiedział.

- Cześć – zapomniałam o tym, jak wyglądałam – Co tu robisz? – spytałam tak, jakby mnie to w rzeczywistości nie obchodziło.

- Przyszedłem, bo... Ahaaa ciuuuu! – kichnął nagle. Na mój widok, kurczę? Przecież tak szybko by się nie zaraził!

- Bo?

- Bo mnie tu sorka Michałek przysłaaaaaaaa... ciuuuu! – znowu kichnął! No wiecie co?!

- Na zdrowie – odpowiedziałam – A co się stało?

- Chciała, żebyś oddała tę książkę, której w porę nie oddałaś, a ona zapomniała przy okazji tamtej bez dwóch stron.

- Myślałam, że chciała się dowiedzieć, jak się czuję... – mruknęłam pod nosem – Aha – powiedziałam głośno.

- No... – rzucił i znowu kichnął, teraz to już dwa razy.

- A ty co? Też chory?

- Nie, nie sędzę. Czy ty masz psa? – no pytanie to rzucił z

kosmosu, zupełnie jak czasami sorka Śmigalska!

- Słu-słu-słucham?!

- No, mam alergię na psią sierść, a chory to na pewno nie jestem – stał tak w progu, postanowiłam go wpuścić do domu.

- Może wejdiesz do środka, a nie tak stoisz tu w tych drzwiach – zaproponowałam i zaprowadziłam go do salonu, na szczęście było czysto, nie to, co u mnie w pokoju. Usiadł na kanapie, zaczął się rozglądać, powiedziałam, że wejdę na sekundę do łazienki i potem przyniosę mu książkę z pokoju. Poleciałam do łazienki jak głupia, spojrzałam w lusterko i krzyknęłam niemym wrzaskiem! Oczy podpuchnięte, cała twarz w wypiekach, włosy jak u czarownicy i ta przeklęta piżama w różowe kwiatki! Zdążyłam tylko lekko poczesać włosy, żeby się nie zdenerwował tym czekaniem. Poszłam do pokoju, nie mogłam znaleźć książki! Wreszcie po kilkunastu minutach

wpadła w moje ręce. Wróciłam do salonu.

- Oto książka – powiedziałam.
- Aha – odpowiedział podobnym tonem. Chciałam, żeby jeszcze trochę posiedział, tak bardzo nudziłam się sama w domu.
- Może chcesz coś do picia?
- Chyba nie.
- To chyba czy nie?
- Wiesz, muszę już raczej iść.
- Aha.
- Dzisiaj wszyscy kończyli wcześniej lekcje, bo coś tam z maturami nie tak i musieli zebranie zwoływać. Więc przyszedłem i muszę już iść, bo... – znowu kichnął, a potem jeszcze raz i znowu – Tu był pies albo ja jestem święty.
- Ja naprawdę nie mam psa, może jacyś znajomi rodziców mają i oni tu pyłków nanieśli.
- Może... Muszę już naprawdę iść.
- Ktoś czeka...? – powiedziałam tak, jakby mnie to wcale nie obchodziło.
- No, w zasadzie tak – odpowiedział pod nosem, ale usłyszałam. „Ciekawe kto...” – pomyślałam. Odprowadziłam go do drzwi, odwrócił się jeszcze i powiedział:
- No to na razie, kiedy do szkoły?
- W poniedziałek najprawdopodobniej.
- To cześć – i poszedł. Zamknęłam drzwi i poleciałam do okna. Pod oknem stała Wiola!
- Wściekłam się. Zobaczyłam za-

raz, jak Damian wyszedł z klatki, Wiola do niego podeszła, zaczęła się uśmiechać i pff... Ale on tylko wsadził ręce w kieszenie, coś tam powiedział i sobie poszedł. A ona dalej siedziała przed tym moim blokiem. Nie sądzę, żeby wiedziała, że tu mieszkam, to mało prawdopodobne. Ale dlaczego sorka Michałek wysłała do mnie Damiana? Przecież choroba usprawiedliwia przetrzymanie książki. Może potrzebowała jej dla kogoś innego? Ale to nie jest żadna ważna książka! Ani lektura, ani podręcznik. I Królewicz był w miarę miły, chociaż ostatnio trochę się pokłóciliśmy. A skąd się u mnie psia sierść wzięła, to już nie mam zielonego pojęcia. Może kiedy ostatnio byłam na dworze i spotkałam psa, który zaczął na mnie skakać, to coś tam zostało na spodniach, jakieś kielki, ale tak mała ilość to by reakcji alergicznej chyba nie wywołała. Ale kiedy to było! W niedzielę! W dodatku ten pies jak na mnie skoczył, to jego pani, taka ze trzydzieści lat kobitka, zaczęła na niego krzyżeć:

- Kromek! Kromek! Zostaw dziewczynkę! – Kromek? Co to za imię?! Jakby nie było innych! Ludzie to mają wyobraźnię...

Ale mi się poszczęściło! Co za kochana rodzinka! Uwielbiam moją siostrę Paulinę i jej mężunia. Siedziałam sobie sama w domu, oglądałam „Powrót do Przyszłości 2”, gdy nagle do domu wróciła mama z Pauliną i Marcinem, tata był jeszcze w pracy. Weszli do mojego pokoju akurat w najlepszym momencie, gdy Marty i doktor Brown

musieli wracać do przeszłości, aby odebrać Beef'owi z 1885 roku „Almanach Sportowy”. Może to zrozumieć tylko ktoś, kto oglądał. A ja oglądałam jakieś 30 razy każdą część. Ale wracając do sprawy mojego nagłego szczęścia, Marcin wniósł do pokoju jakiś wielki karton, coś w nim się ruszało, było słychać piszczenie. Myślę sobie: „To niemożliwe!” Ale to prawda! Pokazali mi mieszkańca kartonu! To był cudny, malutki piesio, jamnik, miał ze trzy miesiące! Był taki śliczny, że chyba nie było piękniejszego na świecie i to w dodatku mój, mój własny! Paula powiedziała:

- To na urodziny! – no tak! Cała Paula, przecież ja mam urodziny w listopadzie!

- Paulinka, co ty! – uśmiechnęła się mamusia.

- Paula go nie chce oddawać, nawet siostrze! – mruknął rozbawiony Marcinek.

- Bo to ja go kupiłam, ja go przetrzymywałam w domu przez ponad tydzień...

- Ile? – spytałam z niedowierzaniem.

- Wiesz, Paulina nazywa dwa dni tygodniem... – roześmiał się mój szwagier.

- Dwa i pół, mój kochany mężu, dwa i pół!

- No to nazwij go, Julka! – rzuciła śmiało mama.

- On już ma imię – oznajmiła Paula ku zdziwieniu wszystkich.

- Taaak? – uśmiechnął się zdrańdziecko Marcin – Niby kto mu je nadał?

- Nie niby kto, tylko ja!

- A jak go ochrzciłaś?
- Komar! – Paula zaczęła machać nagle rękami na prawo i lewo.
- Komar? – krzyknęłam prawie.
- Nie! Komar tu wleciał!
- To już są komary?! Co ty gadasz, za zimno jeszcze!
- No to powiedz mi, siostrzo, co to jest tam na ścianie?
- No rzeczywiście komar – Marcin zajął się komarem.
- Jesteś obrzydliwy! Za kogo ja wyszłam?!
- Za pogromcę komarów, kochanie.
- To jak pieseczka nazwałaś?
- Koliber!
- Jak? – krzyknęliśmy wszyscy naraz.
- Koliber! Jest taki śliczny, więc Koliberek, tak jak mój ulubiony ptaszek.
- A weź! Chyba żartujesz! – zirytowałam się – Ja mu imię wymyślę, tylko dajcie mi czas do wieczora.
- Ale ty jesteś miła, dla mnie to będzie Koliber, jakkolwiek go nazwiesz!
- Teraz mam problem z tym imieniem... Muszę coś wymyślić, bo mój pies zostanie ptakiem do końca życia. A ja mówiłam coś o innych imionach...
- ***
- Mam imię dla pieska, a jak to się stało? O tak:
- Masz już imię dla psa? – spytał tata.
- Yyy... Nie wiem.
- Nie wiem?
- Hę?
- Nazwałaś psa Nie Przerwa

Wiem?

- Co? Nieee... chyba niee... Chociaż... – przypomniał mi się Wielebny Krasnal Chrzestny...

- Co?

- Nazwałaś psa Niewiem, bez żadnej przerwy!

- Pies o imieniu Niewiem w moim domu! No wiecie co! – tata spojrzał na mnie jak na wariatkę, kocham być szalona i spontaniczna.

Niewiem nasikał na mój dywan, mama sprzątała, bo ja jestem obłożnie chora.

- Poczekaj, kurczę, psa nam się zachciało! Niechby Paulinka sprzątała po swoim pieseczku, chciała siostrze prezent zrobić... – co za życie...

Opowieść wigilijna

Opowiadanie autorstwa Przemka Sawickiego

Przesłuchanie dziewczynki w sprawie wilka, który zjadł bardzo szanowaną przez mieszkanców miasta panią Babcie :

- To była wigilia Bożego Narodzenia około 23.00. Byłam w rynku i sprzedawałam zapałki. Niestety nie miałam zbyt wielu klientów. Nagle zza rogu wyskoczyły trzy świnię, a za nimi biegł jakiś pies o szarej sierści. Brzydki jak ...

- Zaraz, zaraz. To był wilk?

- Tak mi się wydaje. W każdym razie zatrzymał się koło mojego stanowiska z zapałkami i zapytał:

'Hej, laska. Masz ogień?'. Trochę się przestraszyłam, więc drżącym głosem wyjąknęłam, czy chodzi mu o zapałki, a on na to: 'Jakaż ta dzisiejsza młodzież nieskapnięta'.

- A więc mamy kolejny zarzut. Wilk jest oskarżony o obrażanie małej dziewczynki sprzedającej zapałki.

- Tak, tak. Ale nie koniec na tym. Z wiarygodnych źródeł wiem, że wilk wcześniej zjadł tego mohera. Jak jej tam...

- Babcie?

- Właśnie. Mogę powiedzieć też,

że wiem to od świnek. Tych samych, które uciekały wilkowi. One były świadkami tego jakże haniebnego czynu.

Przesłuchanie Dziewczynki z zapałkami trwało w najlepsze, lecz w sąsiednim pokoju trwało inne postępowanie, a mianowicie postępowanie karne w tej samej sprawie przeciw Wilkowi.

- ... ja nic nie zrobiłem. Nadal podtrzymuję swoje stanowisko w tej sprawie.

- Przypominam, że jest pan oskarżony o wiele złych czynów: zjedzenie babci...

- Tfu!!! Ja bym czegoś tak brzydkiego, okropnego nie wziął do ust. Poza tym mój lekarz zabronił mi jeść tłustego.

- ...pobicie Czerwonego Kapturka, groźby...

- Niby komu groziłem?

- Trzem Świnkom!!!

- To one powinny być oskarżone o zbezczeszczenie mienia.

- Niby dlaczego?

- Zniszczyły mi dom. Zacząłem je gonić. Po kilku kilometrach znudziło mi się i zatrzymałem się na papierosa.

- Kto może to potwierdzić?

- Dziewczynka sprzedająca zapalki w rynku.

- Dobrze już, dobrze. Przejdźmy do zarzutów. Dlaczego pan zjadł Babcię, pobił Czerwonego Kapturka...

Nagle wszedł Gajowy i z gniewem w głosie powiedział

- ...Obraził pan Dziewczynkę z zapalkami...

- Niczego takiego nie zrobiłem.

- Mam na to dowody.

- Powtarzam, że nic nie zrobiłem.

- Dlaczego Pan kłamie?

- Dobra. To ja już powiem jak było - powiedział Wilk w wyniku nadmiaru emocji.

- A więc jak było? - zapytał Wysoki Sąd.

- W wigilie, czyli 24 grudnia zaprosiłem do siebie wszystkie gwiazdy baśni. Był Kot w Butach, Trzy Świnki, Czerwony Kapturek, Dratewka, Śnieżka i tak dalej. Około 20.00 wpadła babcia i rozgoniła całą imprezę, bo niby było za głośno. Więc się w... zdenerwowałem i zjadłem ją. Potem strasznie rozboleła mnie wątroba. Poprosiłem więc, żeby Dratewka mnie roz-

pruł, wyjął Babcię i z powrotem mnie zaszył. Tak zrobił. Babcia wyszła z tego bez szwanku i gdy się tylko obudziła, uciekła. Mam powody przypuszczać, że teraz ukrywa się w chatce na kurzej nóżce. Możecie się jej zapytać, czy rości do mnie jakieś pretensje. Co się tyczy Dziewczynki z zapalkami, to byłem rozjuszony po tej całej sytuacji. Z trzema Świnkami wygrałem w pokera i nie chciały mi zapłacić, więc jeszcze bardziej się zdenerwowałem i zaczęliśmy się ganiać po całym mieście. Jeżeli chodzi o Kapturka, to chodzimy razem na judo i chciałem jej pokazać ten nowy blok. No i tak wyszło. Ja tylko proszę o łagodny wymiar kary, ponieważ takiego bólu wątroby jeszcze nigdy nie doświadczyłem.

Jak się zawsze w bajkach zdarza, Wilk dostał karę w zawieszeniu i wszyscy byli zadowoleni. Żyli długo i szczęśliwie.

Wiersze

Pająk Próżności

w bycie i w niebycie
 w trwaniu i w pozornym domniemaniu
 zawieszony jesteś
 zawieszony
 w sferze podniebnej kontemplacji
 samodzielnie nie wzniosłeś się nawet na wyżyny
 podeptałeś krajobraz swych łąk nizinnych
 porzuciłeś ich zieloność
 i dobrobyt
 przyjemną swojskość
 dla abstrakcji niedoścignionej
 karmiąc się złudzeniem
 starym jak głupota ludzka
 że człowiek może niczym ptak
 poszybować pofruwać spirale pokręcić
 a Ty w przechyleniu
 prostopadło skośnym
 do powierzchni
 trwasz
 w niebycie
 bytujesz
 i domniemywasz iż każdego dnia o jeden milimetr bliżej Ci do wyżyn
 w domyśle mając góry
 szczyty zdobywając
 w domyśle.

A patrzysz niezmiennie na to, co znane
 co płaskie
 na gruntu szarość
 ziemistość rozdrapana
 Twymi zwisającymi pazurami
 drapieżco niewdzięczny
 jak chcesz polować w zawieszeniu będąc?
 medytacja karmi duszę wszak nie karmi ciała

-Karolina Sendal

Pisarz

Jestem Pisarzem pisanym przez dużą literę
 Jestem ręką wyzwoloną
 Ręka kiedyś obwieściła –
 'Każdy z palców ogłosił swą autonomię'
 A gdzie prawo do stłumienia powstania, gdzie konsultacje, apelacje
 Zapytał Pisarz przez duże P.
 Siła niszczy nawet największy talent – usłyszał podobno i skapitulował.

I tylko jeszcze czasem mnie karmią i ubierają.

A na dobranoc pozwalają czytać to, co napisały.

Pamiętając też, od kogo pochodzą, oddają mi cześć przez duże P.

-Karolina Sendal

Let's not talk of the past

how can be the light so slow?, pytasz, a ja się cofam w
prześwit, przedświt, niewielki dzień. *it's a dying son, a dying
sun, see Emily play**. coś się z nas zachowało: przecinanie
linii równika nożyczkami, otwieranie, zagłądanie które
i tak w końcu okaże się tylko podglądaniem.

<here explanation of Emily takes its part>

przetłumaczyć imię to jak zabić człowieka. trud, wielki ból
nad mostkiem - małe bożki strzegą. Emilia. nigdy więcej
nie powiem cię tak głośno. Emilia.

światło zwalnia, aż wreszcie staje,

zamarza, trzeszczy, kłamie że jest kruche. chodź,

założymy jeden płaszcz, pójdziesz? *show me cars like shining ants on the black velvet of streets.*

how can be the car so slow?, pytasz, a ja się cofam w
ruch, odruch, krótki język. *it's a dying son, here begins
the explanation of playing Emily and her last will.* coś
się zachowało: ustawianie zabawek równo

na półce, skok który

stanie się przeskokiem i oskarżeniem, dwa w tym jednym
mniejszym. <cut>

daj mi spokój. bożkowie rozrywają klatkę w poszukiwaniu,
nie zdążyłem zapytać czego. Emilia? zapytam cię kilka razy
zanim zdążysz poszczuć mój głos. zupełnie nagle
się w nas rozkurcza, *mistake is*

faster than fast, twarde, odwrócone, strzęp jedwabiu. *show me lights, but don't follow them.*

-Paulina Chyl



Mateusz Jaromin